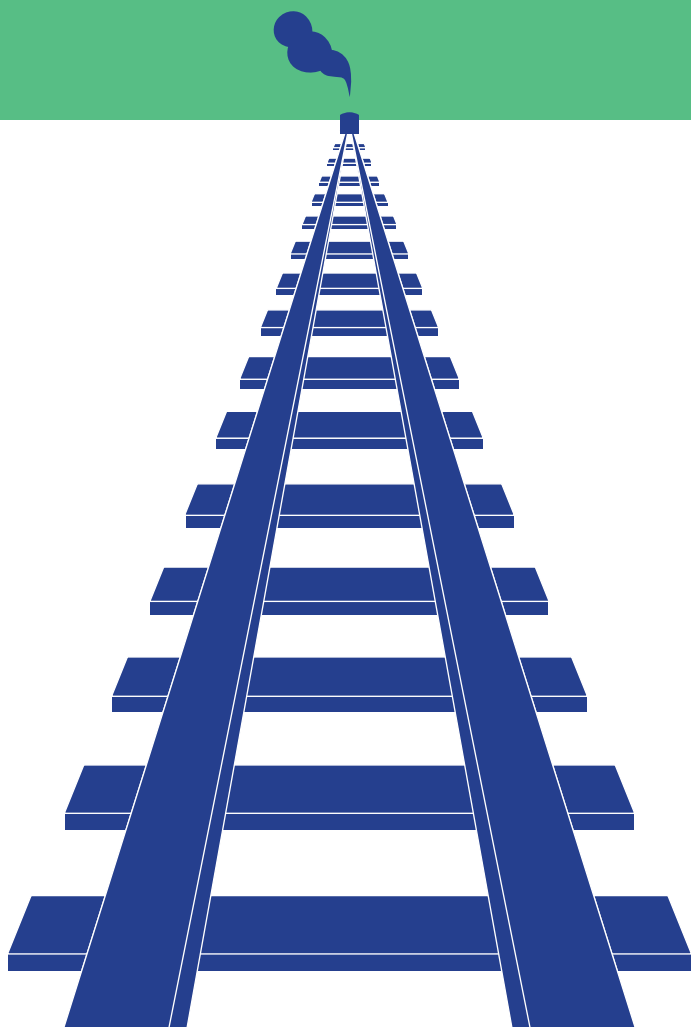
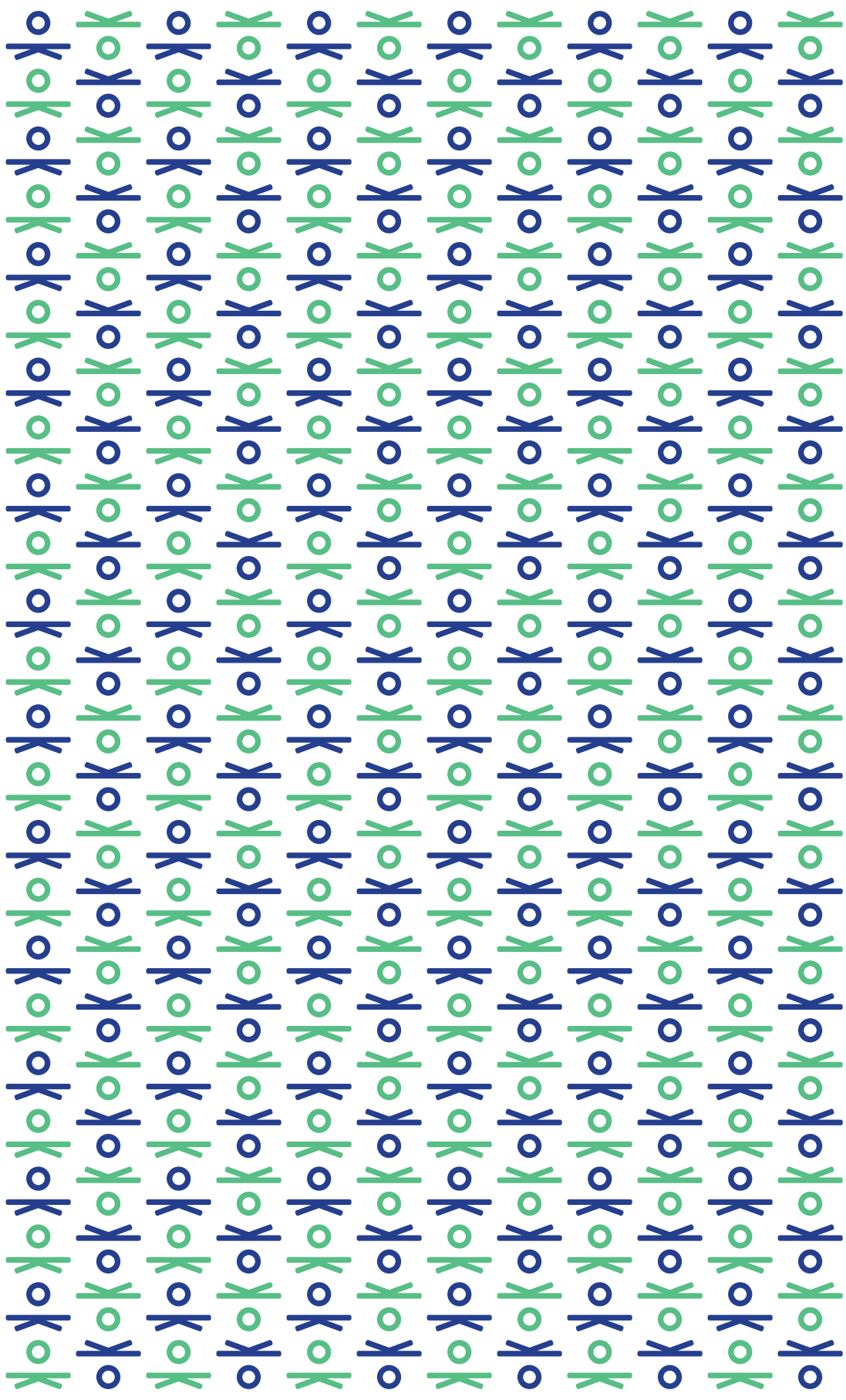


PO KOLEI

przewodnik podwarszawski





PO KOLEI

przewodnik podwarszawski

ISBN 978-83-62590-26-1

Publikacja dostępna na licencji Creative Commons.

Uznanie autorstwa - Na tych samych warunkach 3.0 Polska (BY-SA)

Przewodnik opracowany został przez uczestników wycieczek krajoznawczych, organizowanych przez Towarzystwo Krajoznawcze Krajobraz oraz Pracownię Badań i Innowacji Społecznych Stocznia

Lista uczestników:

Agnieszka Jachowicz
Rafał Janik
Damian Jaworek
Tomek Kaczor
Wanda Klenczon
Ludmiła Kruszewska
Jan Król
Julia Krzesicka
Maria Kubacka-Świątek
Kuba Maria Mazurkiewicz
Ewa Łukawska
Joanna Mikulska
Jan Mencwel

Rita Müller
Paulina Olszak
Agnieszka Osińska
Ewelina Poć
Natalia Pazio
Maria Rościszewska
Cyryl Skibiński
Romain Su
Magdalena Tkaczuk
Anna Wiśniewska
Jan Wiśniewski
Jarosław Ziółkowski
Szczepan Żurek

Redakcja:

Jan Wiśniewski, Jarosław Ziółkowski

Opracowanie graficzne, skład i łamanie:

zespół wespół
zespolwespól.org

Złożono krojami Arek Latin i Lelum Sans

Dofinansowano w ramach programu
Narodowego Instytutu Dziedzictwa –
Wolontariat dla dziedzictwa



KRAJOBRAZ



NARODOWY INSTYTUT
DZIEDZICTWA
NATIONAL HERITAGE BOARD OF POLAND

PO KOLEI

przewodnik podwarszawski

Warszawa 2016

Spis treści

Mapa połączeń kolejowych
s. 7

Wstęp
s. 9

Tworki s. 10 Podkowa Leśna s. 18 Milanówek s. 26 Wukadka s. 36

Jaktorów s. 42 Skierniewice s. 48

Błonie s. 58 Sochaczew s. 66

Modlin s. 72

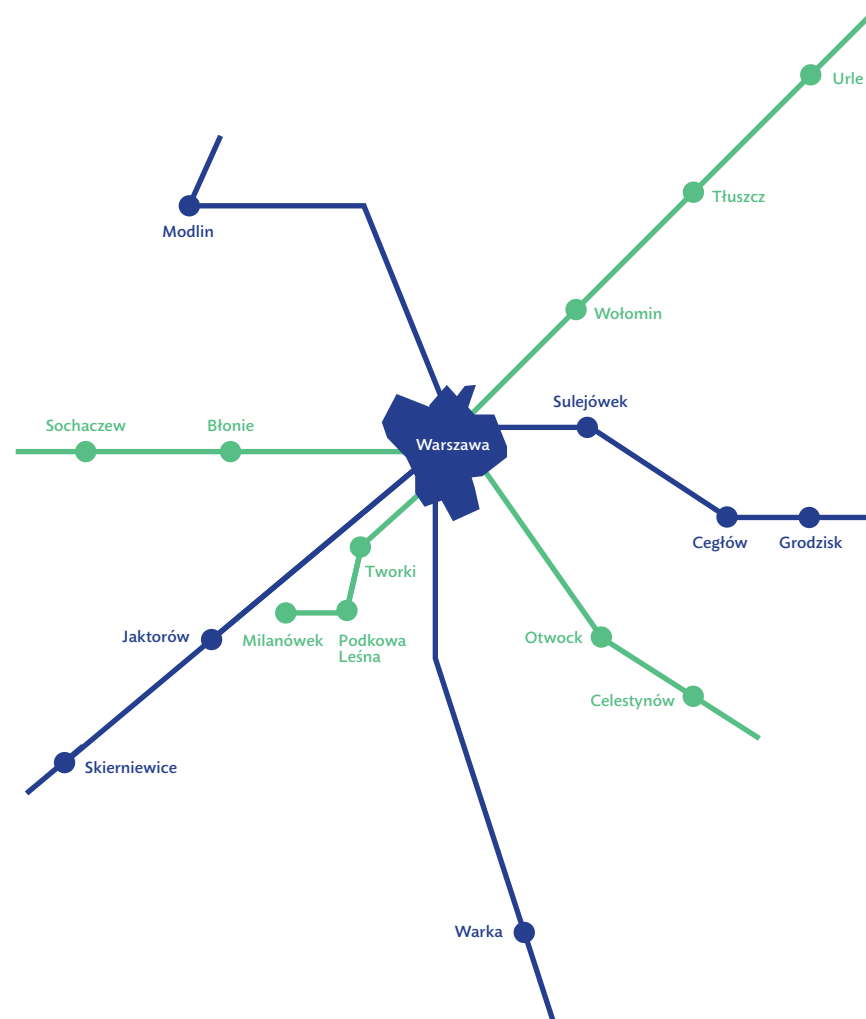
Wołomin s. 80 Tłuszcz s. 88 Urle s. 96

Sulejówek s. 104 Cegłów s. 110 Grodzisk s. 118

Otwock s. 126 Celestynów s. 134

Warka s. 140

Podziękowania
s. 148





człowiek



przyroda



miejsce



zabytek

Po kolei. Przewodnik podwarszawski

Szlaki krajoznawcze przebiegają różnymi śladami. Jednym z nich z pewnością są te wyznaczone przez tory kolejowe. Podążając pozornie oczywistą trasą, wzdłuż wybranej linii kolejowej, połączymy na mapie tak różne miejsca, jak słynny podwarszawski szpital psychiatryczny, utopijne miasto-ogród oraz stolica polskiego jedwabnictwa. Zestawienie przypadkowe, niepołączone żadnym oczywistym kluczem tematycznym, a jednak bez wątplenia interesujące, często zaskakujące. Doświadczenia takiej podróży chcieliśmy przekazać w przewodniku *Po kolei*.

W Towarzystwie Krajoznawczym Krajobraz inspirowujemy się przedwojennym ruchem krajoznawczym, chcemy promować świadome poznawanie Polski oraz gromadzenie szerokiej i krytycznej wiedzy dotyczącej jej krajobrazu kulturowego, przyrodniczego i historycznego.

Dla pierwszych krajoznawców wycieczki były jednocześnie romantycznym metafizycznym doświadczeniem i pozytywistyczną misją krzewienia wiedzy o kraju, szczególnie wśród młodzieży. Przyczyniały się one do zacieśniania relacji, zarówno między samymi krajoznawcami, jak i z odwiedzanymi miejscami i spotykanymi tam ludźmi. Zapewne nie udawało się przy tym unikać romantycznej chłopomanii.

W Krajobrazie bliskie są nam takie spotkania, jednocześnie szukamy nowego, współczesnego języka, by je opisywać. Staramy się unikać pułapki patrzenia z góry, z wielkomiejskim naiwnym zachwytem. Szukamy równowagi między spojrzeniem z perspektywy turysty-obszernika a spojrzeniem od wewnątrz. W takim duchu pracowaliśmy nad naszą pierwszą publikacją.

Przewodnik *Po kolei* jest pierwszym z serii, którą planujemy wydać. W gronie członków Krajobrazu oraz we współpracy z Pracownią Badań i Innowacji Społecznych Stocznia, razem z kilkunastoma wolontariuszami z Warszawy i okolic odwiedziliśmy ponad dwadzieścia miejscowości położonych przy liniach kolejowych zbiegających się w stolicy. W każdej zwiedziliśmy znane i mniej znane atrakcje, rozmawialiśmy z mieszkańcami i członkami lokalnych stowarzyszeń oraz instytucji. W efekcie powstała publikacja, która czerpiąc z tradycji przewodników, stanowi jednocześnie reporterski wielość.

Tworki

Szpital znajduje się nieco na uboczu, ale łatwo można się do niego dostać. W szpitalną bramę wchodzi się prosto z peronu wukadki.



Szpital psychiatryczny, gmach główny

Szpital psychiatryczny pod Warszawą. Czekamy w kolejce w sklepie, małym ceglany budynku krytym dwuspadowym dachem. Przed nami mogłaby stać pielęgniarka i grupa chorych. Może to być również dwóch obrotnych mężczyzn. Zza ich pleców patrzymy, jak wykupują połowę asortymentu.

– I jeszcze dziesięć białych czekolad pani mi da.

– Biała panu zejdzie? – dziwi się sprzedawczyni.

– A co ma nie zejść? – odpowiada i chwilę później z wypchanymi reklamówkami ruszają upłynnić towar pośród tych, którym wyjścia do sklepu jeszcze nie przysługują. Ceny na półkach wysokie, na oddziałach na pewno już drożyzna. Nagle zaczynamy się nerwowo rozglądać. Co my tu właściwie robimy?

Tworki cieszą się mityczną sławą. Czasem można usłyszeć, że ludzie boją się wejść na teren szpitala. Niby wiadomo, że choroba psychiczna nie jest zaraźliwa, ale strzeżonego Pan Bóg strzeże. Czy też – lepiej nie kusić licha, każdy ma jakąś skazę, a w takim miejscu nie wiadomo, co się może stać. Tylko miejscowi nic sobie nie robią z psychiatrycznych demonów. Przychodzą do szpitalnego parku na spacer z wózkiem i jogging. Dzieciaki z Pruszkowa szaleją na rowerach po tworkowskich zakamarkach, a przepływająca na obrzeżach parku Utrata przyciąga wędkarzy.

Szpital znajduje się nieco na uboczu, ale łatwo można się do niego dostać. Wystarczy wysiąść z wukadki na stacji Tworki. Pasażerowie jadący od strony Grodziska prosto z peronu mogą wejść w szpitalną bramę. Ale zza muru i drzew, pośród których rozsiane są pawilony, nie widać zbyt wiele. Choć tory kolejki przebiegają wzdłuż granic parku, a wagoniki zapobiegawczo zwalniają na długo przed stacją, szpital pozostaje ukryty dla pasażerów nawet, gdy spadną liście. Podobnie zresztą jak świat zewnętrzny dla tych, którzy siedzą w środku.

Dziś ten mały wszechświat sprawia wrażenie, jakby istniał zawsze. Jednak jeszcze w latach 80. XIX wieku nie było ani Tworek, ani żadnego innego szpitala psychiatrycznego w tej części zaboru rosyjskiego. Do dyspozycji polskich pacjentów pozostawiało 400 miejsc przeznaczonych dla umysłowo chorych, co wobec 10 milionów obywateli było liczbą dalece niewystarczającą. W Warszawie pacjentami psychiatrycznymi, czy też według ówczesnej nomenklatury „obłąkanymi”, zajmował się jedynie szpital Bonifratrów, co zostało utrwalone w powiedzeniu „wysłać kogoś do czubków”. Niezgodnie z dzisiejszym użyciem, pierwotnie czubkami nazywano prowadzących szpital zakonników – ich habit zaopatrzone był bowiem w charakterystyczny, szpiczasty kaptur.

Odrębność i izolacja zostały wpisane w DNA szpitala już na etapie wstępnego projektu. Władze carskie przygotowywały budowę Tworek, korzystały z idei wypracowywanej przez



Dawna cerkiew

Do czasu I wojny światowej Rosjanie stanowili w Tworkach połowę personelu medycznego, zajmowali też większość wyższych stanowisk administracyjnych. Z tego powodu drugi dyrektor szpitala, Iwan Szabasnikow, wybudował na terenie szpitala prawosławną cerkiew świętego Aleksego. Budynek – w zgodzie z panującymi w owym czasie wśród rosyjskich architektów modami – wzniesiono w stylu ormiańskim, czemu zawdzięcza nietypową na polskie warunki bryłę.

Cerkiew utraciła wiernych w 1915 roku, kiedy Rosjanie opuścili Warszawę i okolice uciekając przed niemiecką ofensywą. Ewakuacja Tworek objęła 137 osób rosyjskiego personelu, sprzęt i archiwum szpitalne. Była zaplanowana tak systematycznie, że na nielicznych zachowanych zdjęciach szpitala z 1916 roku widać puste sale wyczyszczone do gołej ściany. Do Rosji wywieziono bowiem także wszystkich 648 chorych. Żaden nie wrócił do Polski.

Po odzyskaniu niepodległości w Tworkach na nowo zorganizowano regularny szpital, a cerkiew została przerobiona na kościół katolicki pod wezwaniem Przemienienia Pańskiego. Zmiany objęły jedynie wnętrze – zamalowane zostały polichromie, w miejsce ikonostasu postawiono ołtarz, a absydę pokryły freski pensjonariusza zakładu, malarza Bolesława Wiśtockiego. W takiej formie kościół istnieje do dziś.

Tymczasem dyrektor Szabasnikow pojawia się w historii Polski w jeszcze jednym momencie. W 1900 roku pełnił funkcję biegłego psychiatry w procesie sądowym Józefa Piłsudskiego. Przyszły marszałek II RP, oskarżony o kolportaż nielegalnej prasy i udział w zabójstwie dwóch policyjnych informatorów, próbował uchronić się przed surowym wyrokiem – ze śmiercią włącznie – symulując chorobę psychiczną. Szabasnikow ponoć w lot przejrzał mistyfikację. Piłsudski, który spędził kilka lat na zesłaniu ujął jednak pochodzącego z jeziora Bajkał dyrektora długą rozmową o urokach Syberii. W efekcie uzyskania korzystnej opinii więzień został przeniesiony do szpitala psychiatrycznego w Petersburgu, skąd wkrótce uciekł.

polskie środowisko psychiatryczne jeszcze w pierwszej połowie XIX wieku. Były to czasy kiedy nowoczesna psychiatria dopiero powstawała, zmiany w traktowaniu chorych były warunkowane ówczesnym rozumieniem humanitarności. Zgodnie z dominującymi w całym świecie koncepcjami, założono, że nowa instytucja musi być zlokalizowana w pewnym oddaleniu od Warszawy. Miało to zapewnić chorym spokojne warunki rekonwalescencji, a przy okazji izolować ich od reszty społeczeństwa. Zakupiony pod budowę teren folwarku Tworki był do tego idealny. Trudno jednak dziś zrozumieć, dlaczego przy wyborze miejsca zignorowano zastrzeżenia innej natury, sformułowane przez jednego z członków komitetu budowy:

Teren leży wśród moczarów, w nizinie rzeki Pisy, inaczej Utrata, a przez ludzi okolicy również Krzywdą zwanej. Działka pod szpital zakupiona przedstawia wydmnę piaszczystą, otoczoną

trzęsawiskami, spowitymi w czasie letnich wieczorów gęstą mgłą pełną wyciewów, wcale nie aromatycznych.

Ślady bagien można wytropić bez trudu i dziś, zbliżając się do Tworek od strony Pruszkowa przez Park Potulickich, lub mijając szpital od południa, ścieżką biegnącą wzdłuż Utraty i Stawów Pęcickich. Sama wydma – dumne słowo, w istocie była to zaledwie łąka piasku, kawałek suchszego terenu pośród mokradeł – zyskała z czasem nieco bardziej sanatoryjny charakter dzięki drzewom, którymi szybko zaczęto obsadzać szpetny na początku teren szpitala. Zdjęcia wykonane w Tworkach krótko po otwarciu szpitala pokazują pusty teren z rozsianymi po nim w luźnej zabudowie pawilonami szpitalnymi. Proste, surowe budynki o ceglanych murach, pozbawione elementów ozdobnych, godnie reprezentowały XIX-wieczny styl zarezerwowany dla szpitali, fabryk i koszar.

Nie tylko architektura sprzyjała zamykaniu społeczności w obrębie murów. Na terenie Tworek już w latach międzywojennych zaczęły działać biblioteka, kawiarnia i klub pacjenta. Chorzy mieli możliwość pracy w kuchni, pralni i szpitalnym gospodarstwie rolnym. Lekarze i personel pielęgniarski mieszkali na miejscu. W jubileuszowej publikacji szpitala, wydanej z okazji jego stulecia czytamy:

Opinia publiczna zwykłą uważać szpital psychiatryczny za miejsce odosobnione i ponure. W Tworkach lat trzydziestych kwitnie życie kulturalne i towarzyskie. Obok surowych i obojętnych szkoleń personel tworzący jakby jedną rodzinę – bawi się. Początkowo są to zabawy i wieczory poetycko-dramatyczne na wolnym powietrzu pod prowizorycznym dachem. Po otwarciu Domu Rozrywki działalność przenosi się do nowych, obszernych sal, gdzie jest również kino.

Podobna idylla pobrzmiewa także w opisach powojennych Tworek, kiedy szpital szybko się rozwijał, ściągał kadrę z całej Polski i budował po sąsiedzku budynki mieszkalne dla pracowników. W ten sposób wokół chorych psychicznie narastał coraz szerszy kordon sanitarny. Umacniał się podział na świat ludzi chorych w środku i zdrowych poza murami szpitala. Rosła rzekoma sielanka współczesnych trędowatych.

W tym samym czasie, w latach 60. we włoskiej prowincji Gorycja pod granicą jugosłowiańską, Franco Basaglia wraz z personelem kierowanego przez siebie szpitala psychiatrycznego palił kaftany bezpieczeństwa i odmawiał przywiązywania pacjentów do łóżka. Tak narodził się ruch antypsychiatrii, skupiony

Przedszkole

Wbrew opiniom rozpowszechnianym przez miejscowych dowcipnisiów, szpital w Tworkach nie prowadzi oddziału dla małych dzieci. Położony w głębi parku, po lewo od głównej szpitalnej alei budynek z okratowanymi oknami i otoczonym wysokim płotem placem zabaw, to Przedszkole Miejskie nr 2 im. Kubusia Puchatka w Pruszkowie.

Budynek pierwotnie pełnił funkcję kaplicy katolickiej. Został zbudowany w tym samym czasie, co pierwsze szpitalne pawilony. Dzieli z nimi tę samą, ascetyczną architekturę czerwonej cegły, jednak jego elewacja wyróżnia się na tle innych tworkowskich gmachów. Jej podział została zaprojektowany w oparciu o schemat łuku tryumfalnego. Motyw ten ściągnął na architekta, Iwana Sztroma, krytykę współczesnych, którzy zarzucali jego pomysłowi brak wartości artystycznych.

Gdy po I wojnie światowej dawna cerkiew prawosławna została zaadaptowana na kościół katolicki, przeniesiono do niej wyposażenie kaplicy. Ona sama spełniała początkowo rolę szpitalnej apteki, by z czasem zmienić się w przedszkole. Do dziś jednak nad bryłą budynku góruje umieszczony na środku fasady ceglany krzyż.

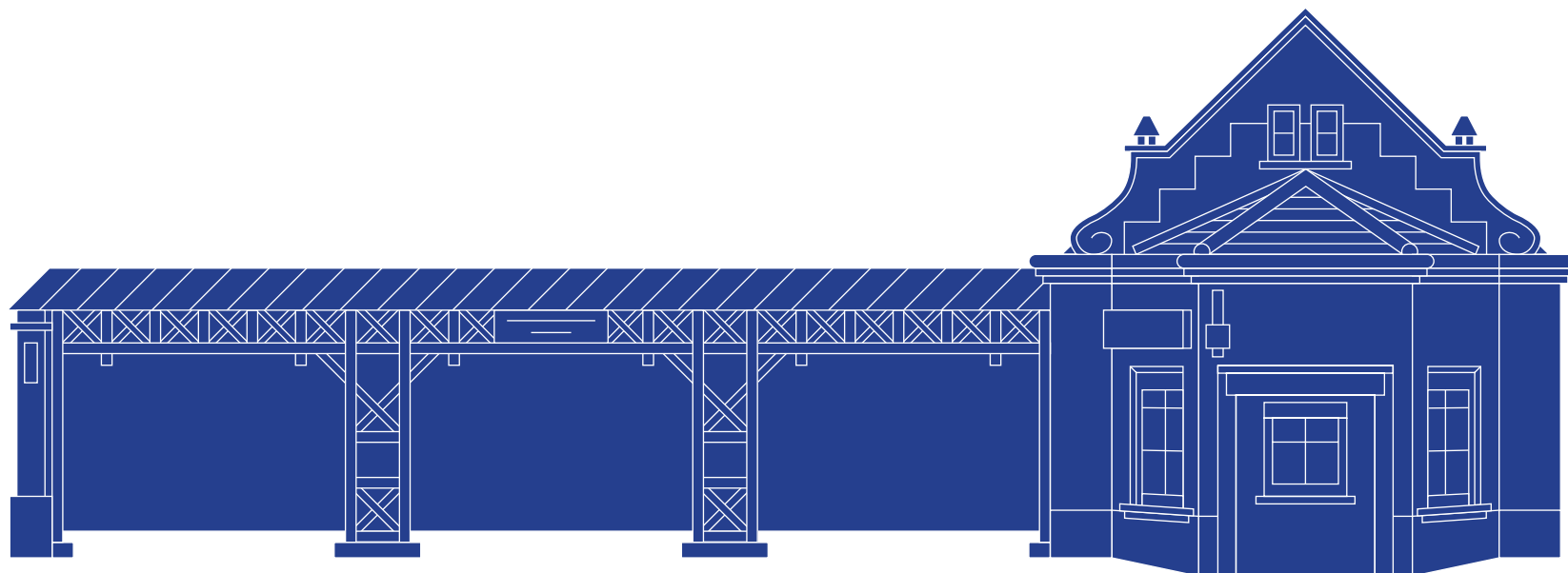
na krytyce instytucji szpitala. Basaglia domagał się rezygnacji z przymusu i przemocy w leczeniu. Zwracał uwagę, że szpital koncentrując osoby cierpiące na zaburzenia psychiczne w jednym miejscu, tworzy warunki niesprzyjające powrotowi do zdrowia. Przyklepia pacjentom etykietkę „czubków” i sprawia, że społeczeństwo jako takich ich traktuje, pogłębiając tylko społeczne podłoże zaburzeń. Zdaniem Basagli instytucja szpitala była więc nie tyle odpowiedzią na uprzedzenia o chorobie psychicznej, ale ich głównym źródłem.

W efekcie działań Basagli i jego naśladowców do końca XX wieku zamknięto szpitale psychiatryczne w całym Włoszech. Systemy opieki zaczęły reformować także inne kraje, kładąc nacisk na leczenie ambulatoryjne i środowiskowe – czyli asystujące pacjentom w ich miejscu zamieszkania. Mimo licznych głosów entuzjazmu, zmiany te spotykały się też i z krytyką – całkowita likwidacja szpitali, przy zbyt wolnym rozwoju usług zastępczych, spowodowała, że niektórzy z najciężej chorych lądowali na ulicy. Stronictwa umiarkowane uważają, że oddziały psychiatryczne są nadal potrzebne, ale niewielkich rozmiarów i jako część szpitali ogólnych, a nie wielkich psychiatrycznych kombinatów.

Szpital Tworkowski nosi obecnie nazwę Mazowieckiego Specjalistycznego Centrum Zdrowia im. prof. Jana Mazurkiewicza. Zmiana nazwy miała służyć zdjęciu z pacjentów stygmatyzującej łatki. Podobno niezbyt to się udało, bo w okolicy i tak wszyscy wiedzą, że chodzi o stare dobre Tworki, a nazwa ta jest synonimem szpitala psychiatrycznego. Z 815 łózkami pozostają jednym z największych szpitali psychiatrycznych w Polsce i Europie. I choć dla pacjentów gotuje i pierze obecnie zewnętrzna firma, gospodarstwo zostało zamknięte, a większość pracowników mieszka już gdzie indziej, szpital nadal tworzy atmosferę zamkniętej społeczności. W momencie otwarcia stanowił milowy krok w rozwoju psychiatrii, realizował wszystkie postępowe idee swojego czasu. Uwolnił chorych z klatek i położył do łóżek. Dzisiaj jednak przyświecająca mu wizja, zakonserwowana w murach pawilonów i parkowym starodrzewiu, stała się archaiczna.

Podkowa Leśna

Idea *miasta-ogrodu* została zaadaptowana na polskie warunki przez sprawnych przedsiębiorców, którzy przekuli ją w dobrze rokujący biznesplan.



Stacja WKD

Chociaż Podkowa Leśna mogłaby promować się jako siedziba jedyne w Polsce Muzeum Kracjonizmu czy wraz z Brwinowem i Milanówkiem, w nawiązaniu do konspiracyjnej przeszłości, jako Mały Londyn to jednak największą sławę przyniosło jej hasło miasta-ogrodu. Wiąże się ono zarówno z historią i ideą przyświecającą powstaniu miasta, zbudowaną na tej podstawie tożsamością samych mieszkańców, jak i działaniami lokalnych władz Podkowy, ale też Brwinowa i Milanówka, które od kilku lat rozwijają projekt Podwarszawskiego Trójmiasta Ogrodów.

Sama koncepcja miasta-ogrodu, zaproponowana została na początku XX wieku przez Ebenezera Howarda w książce *Garden Cities of Tomorrow*. W intencji twórcy miała być rozwiązaniem wszystkich problemów epoki industrializacji, łącząc dobre strony miasta i wsi, a eliminując ich wady. W związku z szybkim rozwojem przemysłu, liczba mieszkańców największych metropolii w wieku XIX gwałtownie rosła, skazując znaczną ich część na życie w niezdrowych warunkach przeludnionych dzielnic. Howard przedstawił swoją koncepcję na schemacie „trzech magnesów”, które reprezentowały trzy konkurujące między sobą „przestrzenie życia”: miasto, wieś oraz miasto-ogród. Każdy z magnesów przyciągał ludzi swoimi zaletami, a odpychał wadami. Mieszkanie w mieście kusiło możliwością prowadzenia rozbudowanego życia towarzyskiego (czemu sprzyjało oświetlenie ulic i rozwój miejskiej komunikacji), dużymi zarobkami czy możliwościami rozwoju, jednak odpychało wysokimi czynszami, zanieczyszczonym powietrzem czy przeludnieniem. Z kolei wieś oferowała piękno i spokój natury, świeże powietrze, jednak traciła na słabych perspektywach rozwoju, niskich zarobkach czy braku życia towarzyskiego.

Miasto-ogród, będące trzecim magnesem, miało pozwolić na korzystanie z uroków zarówno miejskiego, jak i wiejskiego życia. Odpowiedni standard życia w mieście-ogrodzie miało zagwarantować odgórne zaplanowanie jego wielkości (do 32 000 mieszkańców) oraz jego samowystarczalność – Howard zakładał, że w mieście-ogrodzie znajdują się nie tylko domy i mieszkania, ale także zakłady pracy i wszelkie usługi, ze szczególnym uwzględnieniem życia kulturalnego. Samodzielnie funkcjonująca struktura, oddalona od głównej metropolii na tyle, by pozwolić na cieszenie się urokami natury, ale dając też możliwość szybkiego dojazd do centrum, miała ponadto cechować się wyraźnie geometrycznym charakterem. Symetria miasta-ogrodu miała być estetycznym symbolem harmonijnie egzystującej społeczności. Koncepcja Howarda odzwierciedlała klimat epoki „pary i elektryczności”, pokładającej wiarę w Postęp, którego głównym narzędziem stała się socjotechniczna urbanistyka.

Nośność idei miasta-ogrodu została dostrzeżona przez Stanisława Wilhelma Lilpota, jednego z największych przemysłowców ówczesnej Polski. Wraz z pierwszą spółką akcyjną powołaną w niepodległej Polsce, Siła i Światło, oraz Bankiem Związku Spółek Zarobkowych, zawiązał on spółkę Miasto-ogród Podkowa Leśna. 9 kwietnia 1925 roku odkupiła ona od Lilpota majątek pod nazwą hipoteczną Podkowa Leśna, obejmujący głównie tereny leśne, ułożone w charakterystyczny podkowiasty kształt. Nieprzypadkowo w tym samym czasie finalizowano budowę Elektrycznej

Pałacyk Zarybie

Zabytkowy kompleks dworski Zarybie był przed wojną własnością rodziny Regulskich. Janusz Regulski, jako dyrektor spółki Siła i Światło, należał do inicjatorów powstania Podkowy Leśnej. Działał też aktywnie w sprawie utworzenia linii Elektrycznych Kolei Dojazdowych. Sam pałacyk w czasie wojny był miejscem spotkań warszawskich elit i przechowywania skarbów narodowych. Po wojnie Regulski został przez władze skazany na karę więzienia za „działalność antyludową”. Po wyjściu na wolność pod koniec lat 50. zmuszony był sprzedać swoją posiadłość, której znaczna część trafiła w ręce Kościoła Adwentystów Dnia Siódmego. W Pałacyku Zarybie obecnie mieści się siedziba prywatnej szkoły wyższej prowadzonej przez Kościół Adwentystów oraz jedyne w Polsce Muzeum Kracjonizmu.

Kracjonizm jest poglądem twierdzącym iż wszystkie formy życia zostały stworzone przez Boga bezpośrednio w takiej postaci, w jakiej istnieją do dziś oraz przekonanie, że świat nie mógł powstać z chaosu. Koncepcja ta nie jest zbyt popularna, główny punkt odniesienia dla współczesnych teorii naukowych stanowi teoria ewolucjonizmu Darwina, którą kracjonisci odrzucają w całości.

Na stałej wystawie w tym niezablonowym Muzeum można zapoznać się z licznymi planszami i eksponatami, tłumaczącymi ideę kracjonizmu i przedstawiających przemawiające za nim argumenty. Przy okazji wizyty warto odwiedzić mieszczącą się w tym samym budynku bibliotekę, której księgozbiór liczy około 100 tysięcy woluminów.

Kolejki Dojazdowej, realizowaną przez spółkę Siła i Światło. EKD była istotnym czynnikiem utworzenia podwarszawskiego miasta-ogrodu, pozwalając na szybką komunikację pomiędzy Podkową a stolicą. Lilpop doskonale wyczuł potencjał rozwoju, jaki niosła ze sobą budowa szybkiej kolejki podmiejskiej, a jego nowa spółka od początku wydawała się skazana na sukces.

Można powiedzieć, że pierwotna idea miasta-ogrodu Howarda została zaadaptowana na polskie warunki przez sprawnych przedsiębiorców, którzy przekuli ją w dobrze rokujący biznesplan. Uwidaczniają to różnice pomiędzy howardowskim miastem-ogrodem a Podkową Leśną. Projekt Howarda zakładał całkowitą samowystarczalność miasta-ogrodu – mieszkańcy mogliby się z niego nigdzie nie ruszać, a i tak nic by im nie brakło. Podkowa jest w większym stopniu realizacją hasła „pracuj w mieście, mieszkać na wsi”, co upodabnia ją do dzisiejszych przedmieść (czyli tzw. „sypialni miejskich”). Zdaniem Howarda

Mały Londyn

Na czas II wojny światowej nieduże, podwarszawskie miasto ukryte w leśnym otoczeniu stało się ważnym ośrodkiem konspiracji i działań strategicznych wyższych szczebli członków Polski Podziemnej. Jednym z pierwszych działań było zorganizowanie tu w 1940 r. lokalnego Związku Walki Zbrojnej „Brzezinka”, należącego następnie do jednostek AK. Żołnierze tej kompanii, pod dowództwem kpt. Henryka Walickiego „Twardego”, realizowali między innymi akcje małego sabotażu i chronili przedstawicieli Polski Podziemnej w czasie tajnych spotkań w nieistniejącej już restauracji Pod Lipami lub w domu rodziny Bonikowskich. Ruch oporu dotyczył też ludności cywilnej. Pracownicy EKD ostrzegali przed łapankami i rewizjami, pomagali przewozić ludzi i deficytowe materiały, takie jak żywność czy broń. Apteka zaopatrywała w leki, w gabinecie stomatologicznym znajdował się punkt kolportażu prasy konspiracyjnej. W jednym z domów prowadzono tajne komplety dla dzieci i młodzieży. Wielu ludzi kultury i nauki ukrywało się wówczas w Zarybiu lub w należącym do Jarosława i Anny Iwaszkiewiczów Stawisku. To w Podkowie Leśnej została nadana pierwsza audycja radiowa do Londynu informująca o sytuacji w kraju. Wkrótce Podkowa Leśna, Milanówek i Brwinów zaczęły być nazwane Małym Londynem.

nie byłoby to wystarczające, aby zapewnić społeczności takiego miasta-satelity szczęśliwe życie. W jego założeniach całość życia mieszkańców miasta-ogrodu miała odbywać się na miejscu,

Kasyno Obywatelskie

Tuż po powołaniu do życia spółki Miasto-ogród Podkowa Leśna, architekt ogrodów Leon Danielewicz otrzymał zlecenie zagospodarowania 14 hektarów lasu mieszanego przewidzianego w projekcie miasta na park. Był to teren o suchym, wydmowym podłożu, bogaty w różne gatunki roślin i zwierząt. Projektant powziął plan wykorzystania i wzbogacenia walorów naturalnych o możliwości aktywnego spędzania wolnego czasu: ustawiono zatem korty tenisowe oraz wyznaczono tor saneczkowy. Centrum parku stanowił niewielki staw, który służył jako kąpielisko. Niestety jest on obecnie wyschnięty, również sam park stracił na dawnej świetności.

W projekcie uwzględniono też pawilon – siedzibę zarządzającego parkiem Klubu Sportowego. Wkrótce pod potoczną nazwą Kasyna Obywatelskiego stał się przede wszystkim ośrodkiem spotkań publicznych i towarzyskich. Pierwszy człon nazwy pochodzi stąd, że inspiracją dla autora projektu architektonicznego, Juliusza Dzierżanowskiego, było kasyno w uzdrowisku Vichy. Ducha miejsca oddawała istniejąca w czasach międzywojennych restauracja-kawiarnia, zaś w dużej Sali Lustrzanej bardzo często odbywały się eleganckie przyjęcia. II wojna światowa to okres działalności głównie na potrzeby Niemców, lecz z wybuchem Powstania Warszawskiego Kasyno zmieniło swój charakter, pełniąc funkcję wewnętrznego oddziału Szpitala Wolskiego, a tuż po zakończeniu okupacji przekształciło się w bursę dla sierot. Począwszy od wczesnych lat 50. przez ponad dekadę funkcjonowała w nim szkoła podstawowa. Przejściowo całkowicie opustoszały budynek stopniowo niszczał.

Budynek Kasyna, znany dziś mieszkańcom Podkowy głównie jako „Pałacyk” udało się w ostatnich latach poddać gruntownej odnowie. Od 2007 roku ma tu swoją siedzibę Centrum Kultury i Inicjatyw Obywatelskich, w którym regularnie odbywa się wiele wydarzeń kulturalnych, m.in. w ramach Festiwalu Otwarte Ogrody, przywrócono także do życia kawiarnię.

przyczyniając się do budowania silnych więzi danej społeczności lokalnej. Jego zdaniem życie pomiędzy miejscem pracy a „sypialnią” jest nie tylko uciążliwe dla pojedynczych jednostek, ale też zabójcze dla wspólnoty.

Kolejna sprzeczność zawiera się w samej nazwie miasto-ogród, której dosłownej realizacji próżno szukać w Podkowie – bardziej adekwatne byłoby nazwanie jej miastem-lasem. Cała zabudowa Podkowy wtopiona jest w las, a ochronę zieleni gwarantuje Miejskowy Plan Zagospodarowania Przestrzennego, zgodnie z którym minimalny udział terenów biologicznie czynnych na działkach zabudowy mieszkaniowej jednorodzinnej (które dominują w Podkowie) wynosi od 70% do 85% (w zależności od miejsca położenia działki). Z ponad 1010 hektarów powierzchni Podkowy zabudowa miejska zajmuje tylko 41%. Większą część, około 600 hektarów, stanowi Las Młochowski.

Nie oznacza to jednak, że Podkowa miastem-ogrodem nie jest – mimo, że pod niektórymi względami różni się od pierwotnej idei Howarda, to w dużej mierze realizuje jego postulaty dotyczące życia społecznego. Choć można by przypuszczać, że willowa zabudowa Podkowy wpływa negatywnie na poziom integracji mieszkańców (współcześnie stając się odpowiednikiem „grodzonego osiedla”), lokalna społeczność jest bardzo aktywna. Wynika to z jednej strony z obywatelskiego etosu inteligencji, którego emanacją jest działalność Kasyna Obywatelskiego, Towarzystwa Przyjaciół Miasta Ogródu Podkowa Leśna czy cyklicznie odbywający się Festiwal Otwarte Ogródy, jak i silnej roli, jaką odgrywa miejscowy kościół.

Podkowa Leśna to mariaż utopii z praktyką, który wpisał się w jej historię. Sama nazwa miasto-ogród pobudza wyobraźnię, oferując wizję harmonijnego i szczęśliwego miejsca do życia. Realizacja tego projektu ma jednak znamiona dyskusyjnej utopii, inżynierii społecznej objawiającej się chociażby w odgórnym zaplanowaniu wielkości działek, tak, aby kupowane były wyłącznie przez przedstawicieli określonej klasy społecznej – inteligencji. Choć ten eksperyment urbanistyczno-społeczny odbiegł od pierwotnych założeń howardowskich, jego realizacja sprawiła, że Podkowa Leśna jest miejscem unikalnym, w którym to, co najciekawsze, jest niewidoczne dla oczu.



Kościół-ogród w działaniu

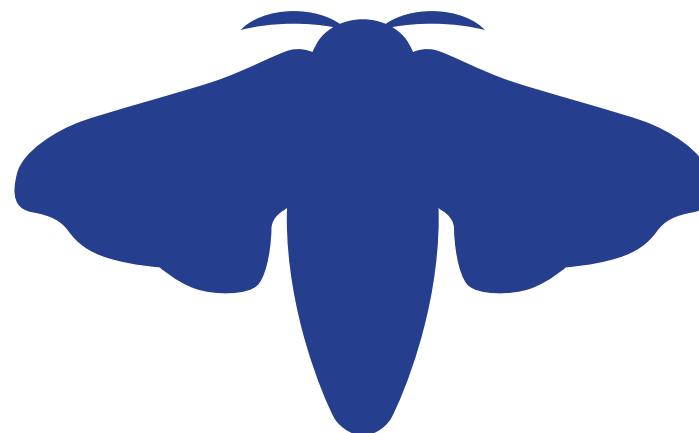
Wkrótce po założeniu miasta w Podkowie Leśnej powstał obywatelski pomysł stworzenia świątyni korespondującej z ideą miasta-ogrodu. Gmach parafii pod wezwaniem św. Krzysztofa został wzniesiony już w listopadzie 1933 roku, a trochę później, bo pod koniec wojny, udało się wykonać pergole i niskie murki. Szybka realizacja projektu możliwa była dzięki samym mieszkańcom, którzy zebrali potrzebne fundusze. Swoją wkład finansowy w inicjatywę wniósł także Automobilklub Polski, co zapoczątkowało tradycję organizowania Autosacrum, czyli corocznego zjazdu w podkowińskim kościele samochodów zabytkowych, ale i tych nowszych. W ramach uroczystości odbywa się msza i święcenie pojazdów.

Przykościelny ogród, projektu Zygmunta Hellwiga z 1934 roku, był rozwijany od końca lat 60. przez Zdzisława Bąkowskiego. Obecnie jest to obszerny teren wypełniony zielenią, podzielony na osiem tematycznych części: przyroda chroniona Polski, przyroda Podkowy Leśnej, przyroda minio-nych wieków, lapidarium, poletko Matki Bożej, ogród biblijny, ptasi raj oraz ogród ziołowy. Nadrzędną ideą przyświecającą twórcom ogrodu było uczynienie z niego naturalnego przedłużenia miejsca kultu. Przyroda została potraktowana przez nich jako przestrzeń objawiająca wszechmoc Boga i umożliwiająca skupienie. Istotnie, wygląd całości zadziwia inwencją i różnorodnością, która jednych zachwyca, innych napełnia sceptyczną rezerwą.

Z historią kościoła św. Krzysztofa nierozdzielnie łączy się postać księdza Leona Kantorskiego. W ocenie części mieszkańców, to on tchnął ducha zaangażowania w tutejszą parafię. Zaraz po przybyciu w 1964 roku do Podkowy Leśnej postanowił zbudować plebanię i doprowadzić do końca aranżację ogrodu. W latach 80. aktywnie wspierał Solidarność. Kiedy zwróciła się do niego grupa muzykującej młodzieży zafascynowana rock and rollem, z propozycją stworzenia nowej oprawy muzycznej mszy, zgodził się bez wahania. Tak w Podkowie rozpoczął się epizod mszy beatowych, którym towarzyszyły gitarowe aranżacje Trapistów, jak nazwali swój zespół młodzi inicjatorzy przedsięwzięcia. Jego sława wyszła daleko poza podkowiński kościół. Wkrótce miała tu premiera mszy beatowej, skomponowanej przez Katarzynę Gärtner, a wykonywanej przez jeden z najpopularniejszych zespołów big-beatowych, Czerwono-Czarnych. Stało się to ledwie trzy lata po reformie liturgii Kościoła katolickiego.

Milanówek

Plan był prosty. Każdy kto
zasadzi morwę, będzie mógł
hodować jedwabniki. Gąsienice
zjedzą liście, a Centrala zapłaci
za przysłane kokony.



Willa Księżanka, dawne Koedukacyjne Liceum
Specjalne Przyrodniczo-Techniczno-Jedwabnicze

11 stycznia 1978 roku. Mroźna środa. Ulicą idzie starszy mężczyzna. Ślizga się. Miękkie kości nie wytrzymują twardego lądowania. Ziemia kończy jego upadek.

Tu kończy i zaczyna się legenda Henryka Witaczka. Człowieka, który zmienił polski przemysł. W życiu poświęcił się dwóm miłośnikom – jedwabowi i Polsce. Pierwsza, była oczkiem w głowie, wyniosła go na szczyt i rozstawiła Milanówek na cały kraj. Druga odebrała mu wszystko.

*

Najpierw musi być morwa.

Hodowle prowadzi się metodą Pasteura. Jajeczka jedwabnika umieszcza się na młodych liściach. Jeśli warunki są sprzyjające wyklują się z nich larwy. Gąsienice jedwabnika jedzą bez przerwy przez kilka tygodni. Jedna larwa zjada dziennie osiem kilogramów liści morwy. W ciągu pierwszego miesiąca ich masa wzrasta 10 000 razy. Drogocenny kokon gąsienica buduje trzy dni. Po wykluciu przetworzy się w motyla.

*

Rodzina Witaczków po rozpoczęciu I Wojny Światowej została zesłana w głąb imperium rosyjskiego. Młody Henryk musiał porzucić szkołę w Warszawie. Razem z rodzicami, siostrą Stanisławą i innymi Polakami osiedlili się w Gruzji. Ojciec rozpoczął pracę w fabryce jedwabiu przy Kaukaskiej Doświadczalnej Stacji Jedwabniczej w Tyflisie. Dzięki niemu Henryk przeszedł wszystkie szczeble pracownicze w stacji jedwabniczej. Poznał podstawy, zrobił odpowiednie kursy. Chciał przywieźć do Polski pomysł na odbudowę młodego państwa. Wybór padł na jedwab.

Wrócił w roku 1921. Rozpoczął studia prawnicze na Uniwersytecie Warszawskim. Ciągle jednak myślał o jedwabnictwie. Swoją pasją próbował zarazić urzędników i władze. Pisał do ministerstw, pismo za pismem, namawiał, przekonywał, co chce zrobić i w jaki sposób. W Ministerstwie Rolnictwa Witaczek był pięćdziesiąt razy. Uważali go za wariata. Nie poddał się. Zdecydował, że trzeba wziąć sprawę w swoje ręce.

Henryk mógł liczyć na siostrę. Stanisława studiowała biologię. Miała wiedzę i odpowiednie zaplecze naukowe. W poszukiwaniu drzew morwowych różnych gatunków wyruszyli w Polskę. Dobry klimat i sukcesy przy hodowli pierwszy sadzonek sprawiły, że to Milanówek stał się ich domem na dłużej.

Brakowało tylko pieniędzy. Z pomocą przyszli rodzice, którzy dołożyli się do przedsięwzięcia sprzedając między innymi ślubne obrączki. W marcu 1924 roku Henryk i Stanisława wyszli



Morwa i jedwabniki

Wylęg jedwabników rozpoczyna się wiosną. Całe życie hodowcy i jego rodziny zostaje podporządkowane żarłocznym larwom: wszyscy domownicy zbierają liście morwowe, karmią larwy i sprzątają po nich. Najpierw w ciepłych i wilgotnych pomieszczeniach rozkłada się na regałach wyselekcjonowane jajeczka, z których wykluwają się gąsienice. Jedwabniki przez miesiąc, bez przerwy, żywią się wyłącznie liśćmi i pędami morwy, zwiększając masę ciała 10 000 razy, a następnie w specjalnie skonstruowanych oprzędnikach owijają się w kokony, które chronią poczwarki przed drapieżnikami. Wtedy trzeba je uśmiercić w gorącej kąpieli, w przeciwnym razie przepoczwarczając się w motyla, zerwą nić. W zakładach jedwabniczych, do których hodowcy odstawiają kokony, ponownie zanurza się je w gorącej wodzie, co umożliwi uchwycenie końca jedwabnej nici, którą następnie zawija się na motowidła. Z jednego kokonu otrzymuje się jej od 1,5 nawet do 3 kilometrów. Z przędzy powstają tkaniny jedwabne znane w handlu pod nazwami tak egzotycznymi jak bureta, fular, iluzja, liberty, mora, muślin, prunela, tafta.

Uprawę morwy, pochodzącego z Azji krzewu, przybierającego z czasem rozmiary sporego drzewa, w rejonie Milanówka spopularyzowali Witaczkowie. Wyhodowali oni pierwszą polską odmianę morwy białej o nazwie „Żółwińska”, która odznacza się bardzo szybkim przyrostem, ma duże, jajowate liście i rodzi czarne owoce. Obsadzano nią ulice, nieużytki i sady, formowano żywopłoty: w uprawie niekłopotliwa, wielu rodzinom dawała sezonowy, ale pewny dochód. Dziś w Milanówku można zobaczyć nieliczne już okazy morwy: najstarsza, sadzona jeszcze w czasach Witaczków, rośnie na terenie zakładów jedwabniczych, kilka mniejszych wzdłuż płotu przy ulicy Warszawskiej. Przy ulicy Kościuszki można zobaczyć ostatni morwowy żywopłot. Odkąd w mieście skończyła się produkcja jedwabiu, nie ma i morwy. Krzewy zniknęły z ulic, bo opadające owoce brudziły chodniki trudnym do szczyśczenia, atramentowym sokiem. Tymczasem z uprawy morwy płyną korzyści nie tylko dla przemysłu jedwabniczego: owoce nadają się na przetwory, zaś te, które opadną, użyźniają glebę, wzbogacając ją o azot i potas. Według niektórych źródeł napar z liści bogatych w witaminy wspomaga odchudzanie, stabilizuje także poziom cukru, trójglicerydów i cholesterolu we krwi. Morwa świetnie też nadaje się do ochrony sadów, nie tylko osłania przed wiatrem, ale i wabi ptaki, które dzięki temu nie objadają wiśni lub czereśni.

przed milanowską willę na ulicy Piasta 13. Z uśmiechem na twarzach przymocowali tabliczkę: Centralna Doświadczalna Stacja Jedwabnicza.

Początki były trudne. Henryk całymi dniami badał morwę i jedwabniki. Sprawdzał trwałość nici, eksperymentował. W latach 1924-29 ceny jedwabnych kokonów na rynkach światowych były najwyższe w historii. Brakowało surowca, więc nie planował jeszcze produkcji. Zaczął od hodowania sadzonek morwy, aby później rozsyłać je plantatorom. Plan był prosty. Każdy kto może zasadzić morwę, będzie mógł hodować jedwabniki. Gąsienice zjedzą liście, a Centrala zapłaci za przysyłane kokony.

W Ministerstwie nikt nie wierzył, że dzięki małemu robaczkowi i jednemu Polakowi z Gruzji na drzewach zaczną

Malowany jedwab

Milanowski jedwab ręcznie malowany to pomysł Stanisławy Witaczek. Stanisława, siostra i prawa ręka Henryka, czuwała nad prawidłowym przebiegiem procesu technologicznego i dbała o dobrą organizację pracy w milanowskich zakładach jedwabniczych. W Milanówku mówi się, że Henryk był wizjonerem, ale swoje wizje mógł realizować jedynie dzięki mrówczej pracy siostry. Z pewnością miała intuicję handlową i dobre rozeznanie rynku: to ona przekonała brata, że warto produkować nie tylko krawaty, apaszki, poszetki i materiał na spadochrony, ale i kupony materiału na unikatowe suknie. Przez kilkadziesiąt lat milanowskie malarki zaprojektowały i wykonały tysiące wzorów. Dzięki sklepom firmowym, a zwłaszcza warszawskiemu Domowi Mody, ulubionemu dziecku Stanisławy, przedwojenne elegantki pokochały milanowski jedwab. W jego promocję zaangażowała się prezydentowa Mościcka patronując Balowi Polskiego Jedwabiu, zorganizowanemu w 1929 roku w Hotelu Europejskim w Warszawie. W PRL-u „milanówek” był marką powszechnie rozpoznawaną, produktem luksusowym i pożądanym. Z zakładem współpracowała matka polskiego dizajnu Wanda Telakowska i wielu artystów: realizowano projekty Marii Jaremy, Władysława Strzemińskiego i uczniów zakopiańskiego liceum Kenara. Tu eksperymentowali z malarstwem na jedwabiu Stanisław Trzeszczkowski i Wojciech Sadley. Z „milanówka” szyto kreacje Mody Polskiej, malarnia wykonywała unikatowe tkaniny dla Jerzego Antkowiaka, Kaliny Paroll, Grażyny Hase.

wisiec pieniądze. Tymczasem hodowla jedwabników miała same zalety. Trwała jedynie sześć tygodni. Zaczynała się w czerwcu, a wtedy chłopcy nie mieli w polu wiele do roboty. Henryk wiedział, że stan polskiej wsi jest fatalny. Chłopcy byli biedni, brakowało ziemi i środków na modernizację gospodarstw. Planował stworzyć przemysł, z którego skorzystają wszyscy. Hodowla jest łatwa i tania, daje możliwość dodatkowej pracy. W 1925 roku, aby szkolić i edukować Henryk i Stanisława wydali podręcznik *O hodowli jedwabników i morwy*. Żeby wypromować swój projekt Witaczkowie stworzyli ulotki, reklamowali kursy, chcieli otwierać szkoły jedwabnicze.

Kiedy pierwsi hodowcy zaczęli przysyłać kokony jedwabników na adres Piastów 13, Milanówek, nie było już odwrotu. Z eksperymentalnie stworzonego krosna powstały pierwsze tkaniny. Potrzeba było zacząć produkcję na większą skalę, ale w Polsce w nikt nie chciał się tym zająć. Witaczek znowu musiał wziąć sprawę w swoje ręce. Za uzbierane i pożyczone od znajomych pieniądze wykupił grunt przy ulicy Brzozowej i zaplanował budowę zakładów. Zorganizowano Tkalnię Jedwabiu Naturalnego. Po kilku latach produkcja ruszała pełną parą.

Z roku na rok hodowców było coraz więcej (w latach 30. około 2400 hodowli). Kokony przysyłano z całej Polski, gromadzono je gdzie tylko się dało. Henryk dumnie chodził między górami białych kokonów, usypanych przed Stacją Jedwabnictwa.

Z czasem metody produkcji udoskonalano według zaleceń Witaczka. Pierwsze krosna budowano z drewna. Później hale unowocześniano maszynami. Milanówek zaakceptował wariacstwo Henryka, a z czasem nawet je pokochał. Ambitny przedsiębiorca зараżał ludzi pozytywną energią. Pomagał pracownikom na każdym etapie produkcji. Cieszył się opinią szanowanego społecznika o otwartym sercu.

Po kilku owocnych latach fenomen milanowskiego jedwabnictwa zainteresowały się w końcu władze państwowe. Wydały ogólnopolskie dekrety. Tory miano obsadzać krzewami morwy, co w zimę ochroni nasypy przed śniegiem, a w lecie służyć będzie hodowli jedwabników. W nadleśnictwach powstały szkółki morwowe. Ministerstwo Pracy i Opieki Społecznej wprowadziło hodowle w zakładach opiekuńczych. Zalecono, aby drzewami morwowymi obsadzano więzienia, szkoły, uniwersytety i garnizony wojskowe. Do akcji przyłączyły się organizacje społeczne i samorządowe. W 1930 roku z Warszawy do 29-letniego Witaczka przyjechał prezydent Ignacy Mościcki. Obejrzał zakłady i zainaugurował kolejną edycję kursów jedwabnictwa. Wszyscy oszaleli na punkcie jedwabiu. Polska porosła chińską morwą wzdłuż i wszerz.

Wytworzone jedwabne tkaniny miały różne kolory, wzory, budowę i fakturę. Od gładkich po chropowate. Przeznaczone na chusty lub krawaty. Stworzono specjalne księgi z próbkami i informacjami technicznymi, aby można było odtwarzać materiał. Stanisława zaprojektowała „Chusteczki Szczęścia”, które w butonierkach nosili modni warszawiacy. Z wzorami i produktami zaczęto jeździć po światowych wystawach. Na jednej z nich milanowski jedwab pokazano w sekcji lotniczej, a wojsko zakupiło materiał na spadochrony. W 1937 roku polskie stanowisko zadebiutowało na targach sztuki i techniki w Paryżu. Tuż przed wojną Centralna Doświadczalna Stacja Jedwabnicza przeżywała największy okres rozkwitu.

Po 1 września 1939 roku nadzór nad Zakładami przejął okupant. Henryk Witaczek postanowił zawczasu sprzedać część krosien, aby nie wykorzystano ich do produkcji spadochronów dla niemieckiej armii. Przeształ produkcję na włókna sztuczne. Na wszelki wypadek zostawił kilka krosien, z których po kryjomu wytwarzał materiał sprzedawany później na czarno w Warszawie. Dało mu to pieniądze na leki i żywność dla potrzebujących.

Podczas okupacji Witaczek wystawiał fikcyjne zaświadczenia o zatrudnieniu, żeby władze nie wywoziły ludzi na roboty do Niemiec. Ułatwiał naukę młodym w tajnych kompletach. Dawał ludziom pracę i wyżywienie. Interweniował, kiedy zatrzymywano młodzież na ulicach podczas łapanek. Najpewniej kosztowało go to wiele pieniędzy, ale nigdy ich nikomu nie wypominał. Współpracował z państwem podziemnym. W swoim laboratorium potajemnie wytwarzał piorunian rtęci potrzebny do produkcji granatów dla Armii Krajowej.

W 1940 roku hitlerowskie władze przekazały Witaczkowi majątek w Żółwinie, by stworzył tam plantację morwy. W spichlerzu urządzał święta dla okolicznych dzieci, rozdawał prezenty. Interesował się losem mieszkańców, każdy mógł poprosić o pomoc. Witaczek wymyślił, że znajdzie takie miejsce, gdzie będzie można hodować morwę i jedwabniki jednocześnie dając ludziom zatrudnienie Polakom ściągniętym ze wschodu. Dzięki temu Żółwin stał się schronieniem dla wygnańców z Kresów i warszawiaków uciekających przed Powstaniem.

*

Jeśli jedwabnik zamieni się w motyla – nić będzie zniszczona. Dlatego larwę trzeba zabić.

Kokon podgrzewamy w wysokiej temperaturze (np. w piekarniku). Następnie rozmiękczyliśmy wodą. Specjalne urządzenie rozbija skrupulatnie uplecioną skorupkę. Teraz wystarczy wysuszyć początek przędzy. Nitkę nawlekamy na szpulę i zaczynamy

nawijać. Z jednego kokonu uzyskamy półtora kilometra nici. Upleciemy dzięki niej jedwabną tkaninę. Powstaną apaszki, krawaty, bielizna, suknie ślubne i spadochrony.

*

Po wojnie nowe porządki zabrały mu całe życie. Stacja Jedwabnictwa przechodzi na rzecz władzy ludowej. W 1948 roku Henryk Witaczek zostaje nagle, bez podania przyczyny, zwolniony ze stanowiska dyrektora. Tak powstają państwowe Zakłady Jedwabiu Naturalnego „Milanówek”.

Następny cios spada na niego kilka lat później. Wieczorami schodził do piwnicy, nikomu nie mówiąc, co tam robi.



Willa Waleria

Milanówek to miasto kilkuset willi w ogrodach. Powstawały głównie w latach 1900–30, wiele z nich projektowali znani warszawscy architekci. Reprezentują najrozmaitsze style: od klasycyzmu Matulinka, przez secesję Perełki, po modernizm Zosina i góralszczyznę Ostromira. Inne wymykają się stylistycznej klasyfikacji, to romantyczno-baśniowe pałacyki, jak Borówka albo wille w Turczynku. Waleria nie jest wśród nich najpiękniejszą, ale ważną ze względu na dawnych mieszkańców: znanego rzeźbiarza Jana Szczepkowskiego, twórcę słynnych snycerskich ołtarzy i płaskorzeźb na gmachu Sejmu oraz jego żonę, Marię Morozowicz, autorkę pierwszych polskich feministycznych sztuk teatralnych, z których jedna, *Sprawa Moniki*, została nawet zekranizowana w Hollywood. W okresie międzywojennym w Walerii bywali znani literaci, aktorzy i artyści, przyjacielem domu był Bolesław Wieniawa-Długoszowski, gościła też Aleksandra Piłsudska. Podczas okupacji miało tu siedzibę biuro gospodarczego wywiadu Armii Krajowej, w którego prace zaangażowani byli Hanna, córka Jana i Marii oraz jej mąż, Adam Mickiewicz. W willi zachowało się wiele pamiątek i dzieł sztuki, w tym wykonany przez Jana Szczepkowskiego model niezrealizowanego nagrobka marszałka Piłsudskiego. Od 1978 roku Hanna Mickiewicz prowadziła tu prywatne muzeum. W 2007 roku Walerię zakupiło miasto, dziś willa stoi zamknięta i niszczeje.

W czasie wojny zakopał w niej zagraniczną walutę, uzyskaną za sprzedane krosna. Ktoś prawdopodobnie doniósł. Witaczek tłumaczył się z tego, mówił, że chciał ją oddać, ale chorował i nie miał siły jej wykopać. Władze państwowe wyznaczyły termin zwrotu obcych walut, ale na niego nie zdążył. Przypadkiem stał się przestępcą. Do więzienia trafił na osiem lat. Przez zły stan zdrowia wyszedł po trzech.

*

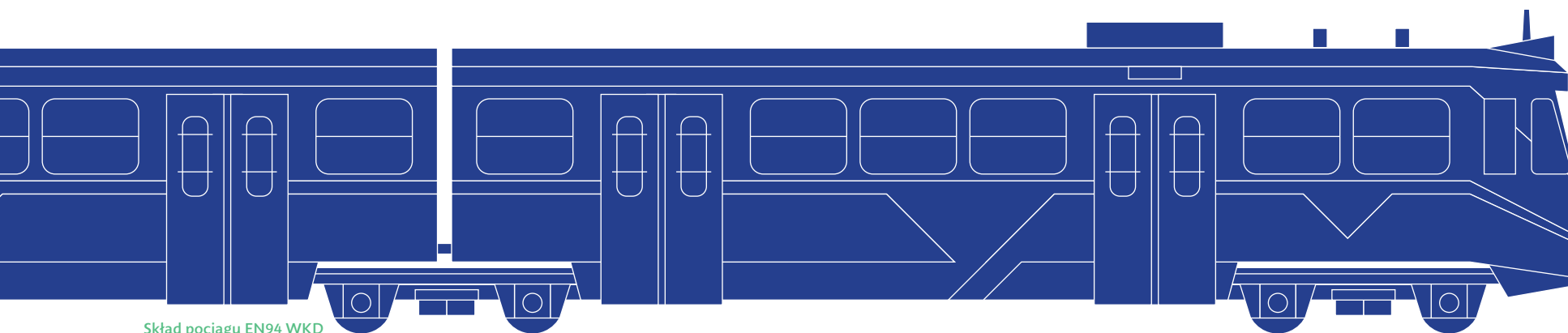
Kiedy w 1974 roku pojechał do Zakładów odebrać zaległą pensję, którą władze PRL zgodziły się wypłacić. Dyrekcja zakazała informować o tym pracowników, aby – szczególnie ci starsi – o niczym się nie dowiedzieli. Jednak wspomnienie Witaczka przełamało nawet cenzurę. Idąc do budynków zakładowych widział, jak spoglądają na niego okna pełne ludzkich twarzy. Starsi pracownicy rozstąpili się i zdjęli czapki. W powietrzu zawisła cisza, z oczu spływały łzy. Odebrał pieniądze i wyszedł nie oglądając się za siebie.

*

Honorata Kuraszkiewicz założyła Stowarzyszenie Kuźnia Milanowska i Stowarzyszenie Muzeum Jedwabnictwa Milanowskiego. Chciałaby stworzyć muzeum Henryka i Stanisławy Witaczków, zebrała odpowiednie eksponaty, ale władze miasta nie potrafią znaleźć dla niego miejsca. Utworzyła więc muzeum wirtualne. Dzięki działaniom stowarzyszenia w Milanówku odbywają się wystawy jedwabiu, projekcje filmowe i spotkania dawnych pracowników. Powstał Jedwabny Szlak dla pieszych, gdzie na miedzianych tabliczkach odczytać można historię rodzeństwa Witaczków. Drugiego dnia po jego otwarciu tablice chcieli ukraść złomiarze.

Wukadka

Po pięćdziesięciu latach
wukadka z nuworyszki
burzącej spokój wyższych
sfer, zmieniła się w nobliwą
instytucję.



Skład pociągu EN94 WKD

Jest rok 1922, młode małżeństwo świeżo po ślubie wysiada na stacji kolejowej w Brwinowie. Jeszcze niecałe trzy kilometry bryczką i wreszcie docierają do celu przejażdżki – Podkowy Leśnej, majątku ojca i teścia. Krótki rzut oka na romantyczna stodołę z wielkim gotyckim oknem, dziewiczy las ze starymi sosnami, osobliwymi kwiatami i nieco oddaloną starą willę zwana Aidą. Tak zapamiętał swoje pierwsze zetknięcie z Podkową czterdziestosiedmioletni Jarosław Iwaszkiewicz, po prawie dwudziestu latach zasiadając do spisywania wspomnień. W jego opisach ówczesna Podkowa Leśna to istna idylla, która „sprawiała wrażenie czegoś dzikiego i o sto mil od miasta oddalonego”. Jego stan błogości przerywa nagle pojawienie się na horyzoncie elektrycznej kolei dojazdowej. Ukończona w 1925 roku EKD połączyła izolowane dotychczas podwarszawskie tereny ze stolicą. W oczach Iwaszkiewicza wpuściła do rajskiego krajobrazu „barbarzyństwo ludzkie”.

Wspominając lata 20, Iwaszkiewicz widzi tylko kres sielanki, a przecież poniekąd stał się pośrednim beneficjentem sukcesu kolejki. W pierwotnych projektach trasa kolejki z Komorowa miała odbijać w kierunku południowym aż do Nadarżyna. W wyniku sprzeciwu księżny Radziwiłłowej, właścicielki Lasów Młochowskich, które kolejka miała przecinać, należało znaleźć dla niej nową trasę. Problem rozwiązał teść Iwaszkiewicza, Stanisław Lilpop, który podarował EKD prawie 7,5 ha gruntów w Podkowie Leśnej pod przygotowywaną inwestycję. Nie pozostając jedynie honorowym fundatorem, postanowił wykorzystać sprzyjającą sytuację rozpoczynając swój kolejny udany, jak się później okazało projekt biznesowy – spółkę akcyjną Miasto-Ogród Podkowa Leśna.

Niewątpliwie jednak powstanie ekadki całkowicie zmieniło podwarszawski krajobraz. Zniknęły ogromne zalesione posiadłości, na których częściej niż człowieka, dostrzec można było bażanty i sarny. Pojawienie się pod koniec lat 20. XX wieku elektrycznej kolei dojazdowej dało impuls do rozwoju istniejących miejscowości (np. Grodziska) oraz powstania zupełnie nowych (jak wspomniana Podkowa Leśna). Kolejka była z nimi związana od samego początku, ułatwiając transport już na etapie budowy. Miało to olbrzymi wpływ na urbanistykę miejscowości, która skupiała główną część życia miejskiego na osi torów. Do powstających wokół stacji domów wprowadzali się nowi mieszkańcy, których przyciągało modne hasło miasta-ogrodu oraz bliskość stolicy – z Podkowy w okolice ówczesnego Dworca Głównego w Warszawie można było dojechać w niecałą godzinę.

W 1934 roku na łamach „Wiadomości Literackich” Irena Krzywicka kolejkę porównuje – niejako na przekór Iwaszkiewiczowi – do „torpedy, która ze strefy piekielnej przenosi ją

w rajskie zacisze.” Ale ekadka łączyła dwa światy nie tylko w znaczeniu przestrzennym, ale i społecznym, stając się dogodnym środkiem transportu dla szerokich mas ludzi dojeżdżających do pracy. Kolejka spajała różne klasy społeczne, można w niej była spotkać zarówno robotników jak i przedstawicieli inteligencji. We wspomnieniach pasażerów, przewijają się obok



Izba Tradycji

W niewielkim baraku obok stacji Grodzisk Radońska od kilkunastu lat działa Izba Tradycji EKD/WKD. Warto ją odwiedzić, bo niepozorny barak kryje arcyciekawe pamiątki z 90-letniej historii kolejki, a opowieść, której wysłuchamy, wciągnie nas, nawet jeśli nie jesteśmy fanami transportu szynowego. Ekspozycja prezentuje zdjęcia i dokumenty związane z działalnością spółki Siła-Światło, przeprowadzoną w ciągu zaledwie dwóch lat budową linii EKD i dziesiątkami lat eksploatacji. Są tu makiety stacji w Grodzisku i w Podkowie, elementy infrastruktury, kolejarские mundury. Zrekonstruowano fragment wnętrza pierwszych wagoników (zgrabne drewniane ławki i świetny, angielski detal) oraz dawną kasę biletową w Komorowie. Nie tylko miłośników starego taboru oczarują modele kolejek, na czele z pierwszą, produkowaną w Anglii w latach 20-tych „babunią” w kolorze kości słoniowej. Takie składy jeździły do Warszawy jeszcze 40 lat później, tyle że malowane już na granatowo. W czasie cyklicznych imprez można tu także zobaczyć zachowany kompletny wagon silnikowy EKD produkcji angielskiej z 1927 roku z zachowanym oryginalnym wyposażeniem.

Wśród setek drobnych eksponatów warto zwrócić uwagę na pochodzący z lat trzydziestych zegarek motorniczego – prawdziwy kieszonkowy Tissot, wart wówczas majątek. Takie zegarki z wygrawerowanym na kopercie numerem służbowym otrzymywali od firmy wszyscy kierujący ekadkami zaraz po ukończeniu kursu na motorniczego. Im bliżej czasów nam współczesnych, tym mniej malownicze i oryginalne eksponaty, z nacjonalizowaną spółką przemianowaną na WKD wpisała się w peerelowską szarość. Na zakończenie wystawy pojawia się jednak akcent optymistyczny: to nowe, wygodniejsze wagony i zmodernizowana trasa – wukadka to najlepiej funkcjonująca warszawska kolej podmiejska.

siebie zapomniany dziś bajkopisarz Benedykt Hertz codziennie rano w ostatniej chwili wbiegający do wagonu, dwa przesłonięte kokardami pekińczyki Mieczysławy Ćwiklińskiej oraz ludzie spieszący do biur czy robotnicy w czasie wojny jadący do kopania rowów przeciwzołgowych.

Co przyczyniło się do powstania kolei EKD? Kluczowym i wyjściowym punktem jest sytuacja Warszawy w początku lat 20. XX wieku. W tym okresie należała ona do najbardziej zagęszczonych miast w Europie. Jednym z lansowanych rozwiązań

Tramwaj EKD/WKD

Choć dziś trudno to sobie wyobrazić, do lat 70. wukadka na równi z tramwajami kursowała ulicami Warszawy. Internetowy komentator wspomina: „kiedyś jeden dzieciak wpadł pod kolejkę na Szczęśliwickiej i ucięło mu nogę. Mały martwił się tylko tym, żeby nic nie mówić jego mamie”. Na etapie projektowania linii zdecydowano o zastosowaniu na odcinku od Szczęśliwic do centrum miasta systemu tramwajowego, co miało pozwolić na uniknięcie przesiadek i tym samym przyspieszenie dojazdu. Początkowo stacja końcowa mieściła się na Nowogrodzkiej, między Marszałkowską i Poznańską. W 1957 roku trasa została skrócona i pociągi kończyły swój bieg na nieistniejącym przystanku Warszawa Chałubińskiego WKD. Dziś w tym miejscu znajduje się zaplecze Hotelu Marriott. Ponowne przebudowy trasy miały miejsce w latach 1963 i 1975, kiedy wukadka ze stacji Raków została skierowana w stronę wykopu linii średnicowej. Wagoniki zniknęły z ulic Ochoty i Śródmieścia, a trasa przybrała współczesny bieg.

Ostatnie cechy tramwaju kolejka straciła jednak dopiero 40 lat później. W nocy z 27 na 28 maja 2016 roku napięcie na linii przełączono z typowego dla tramwajów 600 volt, na standardowe na polskiej kolei 3000 volt. W starym systemie niemożliwe było dalsze zwiększanie częstotliwości jazdy pociągów. Obecnie mogą one kursować co 3 minuty i tylko ograniczenia przepustowości dworca Warszawa Śródmieście WKD powodują, że docelowo w godzinach szczytu wukadki startować będą nawet co 7,5 minut – odpowiadając tym samym na potrzeby stale rosnącej liczby pasażerów.

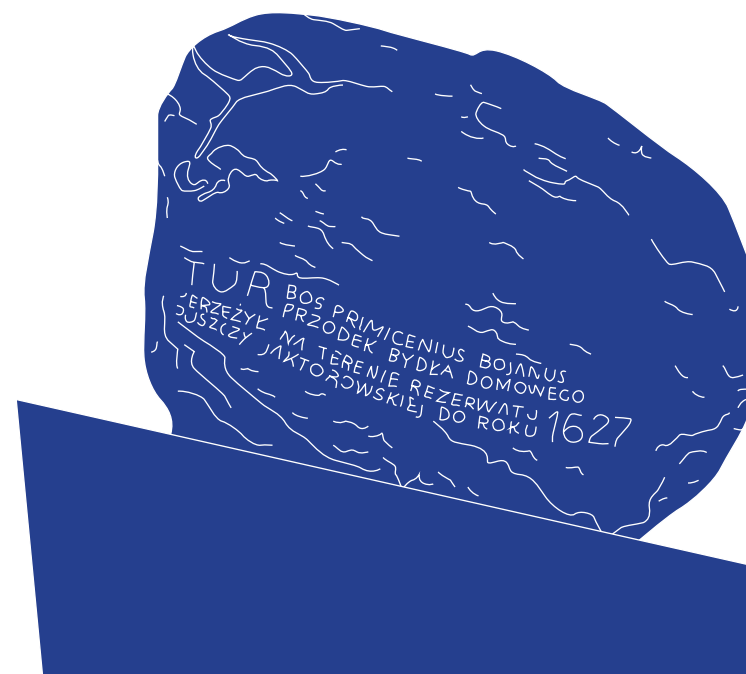
tego problemu było tworzenie osiedli na obrzeżach miasta. Powodzenie tego projektu zależało od stworzenia szybkiej kolei podmiejskiej. Starania o stworzenie linii w kierunku południowo-zachodnim podjęło utworzone w 1918 roku Zgrupowanie Elektryfikacyjne Siła i Światło, pierwsza spółka akcyjna w odrodzonej Polsce. Nowopowstała spółka napotkała jednak na wiele problemów. Jednym z nich było ustawowe zalecenie zachowania 2 kilometrów odległości od istniejącej już na tym obszarze linii PKP Warszawa – Grodzisk – Żyrardów. Ostatecznie po wygranej walce z Ministerstwem Komunikacji i stojącym na jego czele inżynierem Eberhardem, wymóg ten udało się ominąć. Nowa linia kolejowa miała przejąć większość ruchu podmiejskiego na zachód od Warszawy, a tym samym stworzyć pomost między miastem a rozrastającymi się miejscowościami w jego bezpośrednim sąsiedztwie.

Ostateczną trasę wytyczono pozornie wbrew wszelkim racjonalnym zasadom. Ekadka miała zahaczać o szereg małych miejscowości i przejeżdżać możliwie blisko ich centrum. Na przekór swojej starszej siostrze, sunącej prosto do celu w Grodzisku linii PKP, elektryczna kolejka zygzakiem kręciła się po zachodnich przedmieściach stolicy. Wpłynęło to na wygląd sieci torów kolejowych, które na mapie przypominają istny labirynt. „Niczym pijana, nie potrafi choćby przez chwilę utrzymać wyznaczonego kierunku. Zatacza wielkie łuki z północy na południe, a wszystkie te spirale i sinusoidy służą jedynie temu, by mogła przystanąć na chwilę w Malichach lub Kazimierówce.” Krążąc tak od celu do celu przez blisko 90 lat, zmieniając po drodze nazwę z ekadki na wukadkę, pocziwa kolejka do dziś nadaje kształt południowo-zachodnim obrzeżom Warszawy.

W 1954 roku Iwaszkiewicz rozpoczął na łamach „Życia Warszawy” prowadzenie cyklicznych gawęd poświęconych książkom. Ekadka skradła mu jeden z felietonów. Autor dziwił się: „Boże drogi, gdzie mnie zapędził lokalny patriotyzm? Przecież to są rozmowy o książkach! Ale czy z dziejów takiej jednej instytucji jak EKD nie dałoby się stworzyć pasjonującej książki?”. Widziana oczami trzydziestoletniego Iwaszkiewicza barbarzyńska kolejka, stała się nobliwą i stateczną instytucją, która niejedno w swym długim żywocie przetrwała, tym bardziej zasługując na własną opowieść.

Jaktorów

Smutnemu momentowi śmierci
ostatniego jaktorowskiego
tura postanowiono nadać
odpowiednią oprawę.



Pomnik ostatniej turzycy

Jaktorów to typowa miejscowość „pomiędzy”. I to nawet nie pomiędzy Warszawą a Łodzią. Miejscowość jest na tyle mała, że na mapie okolicy mimowolnie widzi się ją raczej na drodze między Żyrardowem i Grodziskiem. Nie znaczy to wcale, że Jaktorów jest miejscem niewartym odwiedzenia. Miasteczko ma swoją historię, która świadczy o wyjątkowości miejsca. I choć jej ślady są mniej widoczne niż większych i lepiej zachowanych miastach, to przy odrobinie wysiłku można je znaleźć. Wystarczy zapytać mieszkańców i czujnie przyglądać się kameralnej przestrzeni.

Nie ma jednak jednej, spójnej opowieści o losach Jaktorowa. Zamiast jej usłyszeć można wielogłos z kilkoma wyraźnymi tropami, które są źródłem tożsamości tego miejsca.

Dawniej tereny dzisiejszego Jaktorowa i okolic były obficie zalesione. Wchodziły w skład Puszczy Jaktorowskiej, której ozdobą były tury, gatunek pokrewny żubrom, dziś już wymarły. To właśnie na tym obszarze udało im się przetrwać najdłużej w Polsce, ale i w Europie. Na zachodzie ostatni tur padł jeszcze w średniowieczu. Tymczasem polskie tury zdołały utrzymać się przy życiu jeszcze w pierwszej połowie XVII wieku. Ich wyępienie dokonałoby się to pewnie wcześniej, gdyby nie specjalne względy ze strony polskich monarchów. Królowie i księżęta mieli wyłączne prawo do polowania na tury już za czasów Jagiellonów, co paradoksalnie stanowiło całkiem skuteczny sposób ochrony gatunku. Do tego na królewski rozkaz zwierzęta te były dokarmiane przez miejscowych. Wiemy z pisma wydanego przez Zygmunta III Wazę, że na terenie Puszczy Jaktorowskiej zakazano wypasu bydła i wycinki drzew, by nie niszczyć środowiska puszczy „gdzie turowie bywają”.

Pomimo działań „ochronnych” liczba turów w Puszczy Jaktorowskiej wciąż stopniowo się zmniejszała. W 1602 roku żyły tylko cztery osobniki. Można było się spodziewać, że wkrótce królewskie zwierzęta znikną. Smutnemu momentowi postanowiono nadać odpowiednią oprawę. Róg ostatniego tura-samca, opatrzonego informacją o śmierci zwierzęcia w 1620 roku, trafił w ręce starosty sochaczewskiego. Wkrótce potem z przyczyn naturalnych umarła ostatnia turzyca. Według świadectwa mieszkańców z 1630 roku, samica była wówczas „zdechła od lat trzech”. Czyli musiało mieć to miejsce w 1627 roku. Mimo pewnych zastrzeżeń co do wiarygodności kalkulacji, ta data (oraz cała epoka bytności turów) zostały upamiętnione w 1972 roku znajdującym się w Jaktorowie pomnikiem w postaci głazu narzutowego z inskrypcją.

Pomnik usytuowano w leśnym otoczeniu nieopodal głównej drogi, nad rzeką Pisią-Tucznią. Obszar ten należy do

pozostałości Puszczy Jaktorowskiej, która od czasów wyginięcia turów zmniejszyła się o prawie 70%. To co zostało, jest jednak niezwykle cenne i dzisiejszy krajobraz naturalny Jaktorowa i okolic znajduje się w strefie chronionej. Zdecydowanie odcina się swoim charakterem od zurbanizowanych terenów występujących dookoła. Natrafić tu można na wiele starych drzew (w tym pomnik przyrody – wierzbę kruchą). Roślinność jest niezwykle zróżnicowana, a przez centrum płynie wspomniana już rzeczka. Wszystko to przywodzi na myśl dziką gęstwinę, nienaruszoną przez człowieka i tratowaną jedynie przez kolejne pokolenia turów.

Podobne leśne i wiejskie widoki rozciągają się jeszcze daleko za miejscowością. Podziwiając je podczas spaceru lub jazdy rowerem, można dotrzeć do położonej pięć kilometrów od Jaktorowa Kukłówki Zarzecznej. We wsi znajduje się dworek modrzewiowy pamiętający czasy XIX-wieczne oraz pobyt Józefa Chełmońskiego. Od powrotu z Paryża w 1889 roku do śmierci w roku 1914 to głównie tutaj mieszkał i tworzył, odcinając się od świata artystycznej bohemy, ale też problemów osobistych. Artysta zaśląnął przede wszystkim z wyrażania w swych obrazach fascynacji polską wsią, naturą i kulturą ludową. Możemy zatem domniemywać, że pejzaże rozpostarte w dolinie rzeki Pisiej Tucznej i życie zamieszkujących tu chłopów było inspiracją dla kilku najpopularniejszych dzieł Chełmońskiego, takich jak *Bociany*, *Kaczeńce* czy *Burza*.

Ale Jaktorów to nie tylko fauna i flora. W drugiej połowie XIX wieku dzięki zlokalizowaniu tutaj jednego z przystanków trasy Kolei Warszawsko-Wiedeńskiej, wieś zaczęła dynamicznie się rozwijać. Napływali nowi mieszkańcy, pojawiły się załężki industrializacji. To, co wydaje się szczególne, to fakt tworzenia najważniejszej infrastruktury oddolnie i społecznie. Wśród osób wskazywanych jako bohaterowie tamtych czasów, wyróżnia się Leonard Maciejewski, który o miejscową edukację troszczył się samemu będąc jeszcze uczniem. Na początku XX wieku, jako uczeń szkoły średniej w Skierniewicach, organizował lekcje dla jaktorowskich rówieśników. Później konsekwentnie sam został nauczycielem, ale w ramach zacięcia społecznikowskiego przyczynił się także do powstania tutejszego kościoła, Ochotniczej Straży Pożarnej i poczty. Jednocześnie zajmował się własnym gospodarstwem i sadownictwem, prowadził z żoną sklep spożywczy – był więc osobą wpływową zarówno na polu życia publicznego, jak i przedsiębiorczości.

Druga ważna postać dla mieszkańców, Stefania Cygańska, swoje życie również poświęciła edukacji. Funkcję kierownika tutejszej placówki, której jest dziś patronką, pełniła od 1919 roku nieprzerwanie przez 30 lat. Dzięki podwalinom, jakie stworzył

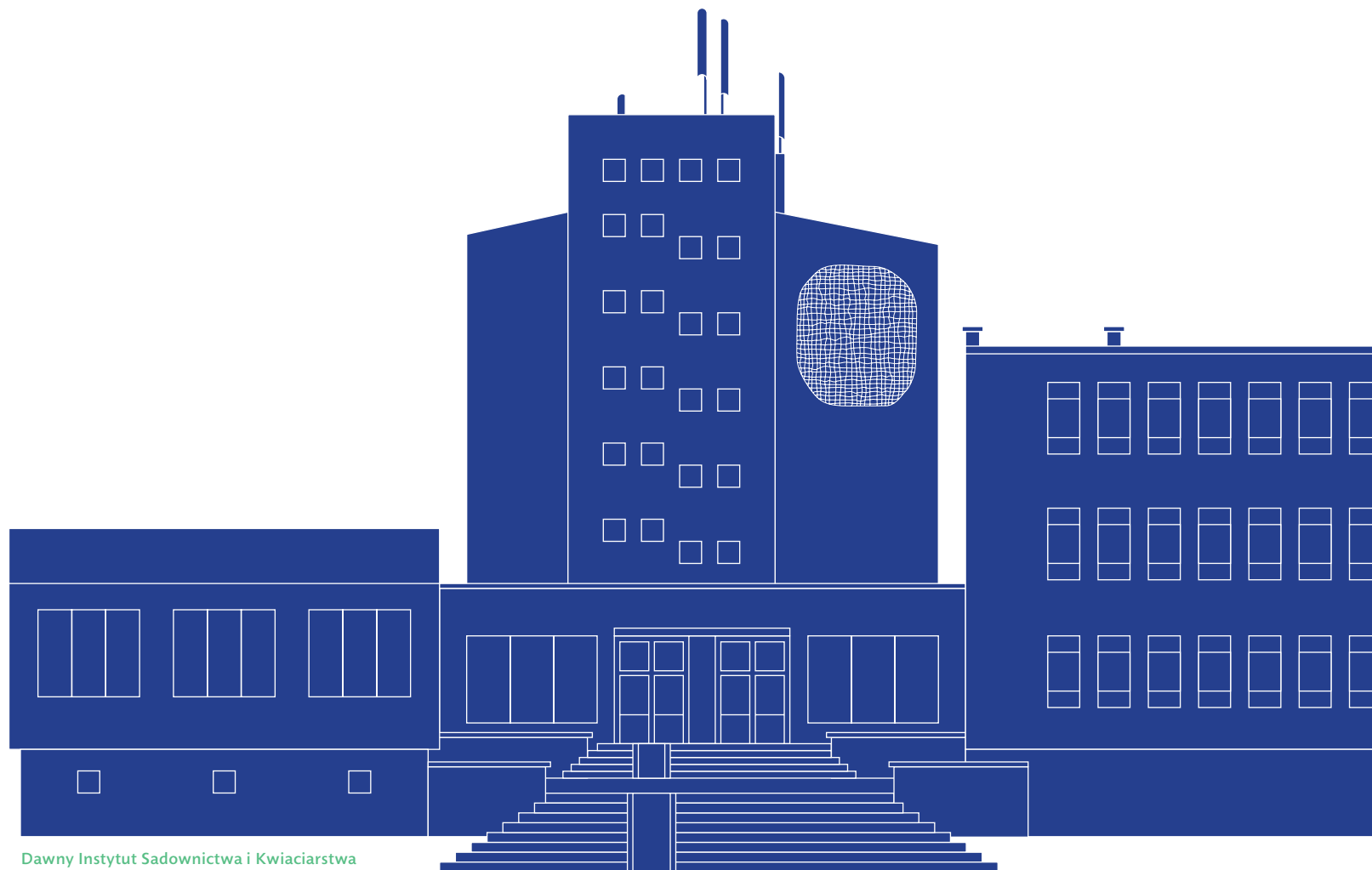
Maciejewski, jej starania o zbudowanie w Jaktorowie samodzielnej szkoły urzeczywistniły się w 1938 r. Wojna nie przerwała misji dyrektorki – szybko zdecydowała się poprowadzić dla swoich wychowanków tajne nauczanie. Ważnym epizodem w jej legendzie była sensacyjna ucieczka przed Niemcami. Cygańska przechowywała w domu przy Miodowej radiostację AK. Została zdekonspirowana pod koniec okupacji. Uratowała się jednak dosłownie w ostatniej chwili, wymykając się z domu jako służąca. Ze względów bezpieczeństwa musiała się przez pewien czas ukrywać, później powróciła do Jaktorowa, gdzie mieszkała do końca życia.

Wiele innych postaci, których nie sposób wymienić, włączało się na przestrzeni lat w inicjatywy na rzecz miejscowości i jej mieszkańców. Ich pamięci, podobnie jak czci ostatnich turów czy czystości jaktorowskiej przyrody, od wielu lat strzeże Towarzystwo Przyjaciół Jaktorowa. Chcąc poznać lepiej Jaktorów, warto nawiązać z organizacją kontakt – słuchanie w przestrzeni miasta opowieści i wspomnień członków to zapewne najlepszy sposób na poznawanie okolicy.

Siedziba turów i jedno z ulubionych miejsc królewskich polowań, sielskie krajobrazy bywające artystyczną inspiracją oraz silna poczucie wspólnotowości – to historie i wartości, które warto podtrzymywać w pamięci. To również żywy dowód, że warto odwiedzać niepozorne miejsca. Bo choć Jaktorów na pierwszy rzut oka wydaje się całkowicie zwyczajny, to po rozmowie z ludźmi zakochanymi w jego historii i współczesności szybko można zmienić zdanie. Z pewnością wiele jest w Polsce podobnych wsi i miasteczek, które tylko na pozór niczym się nie wyróżniają: niech przykład Jaktorowa będzie ukłonem w ich stronę.

Skierniewice

Był socrealizm, był modernizm.
Mimo to typowa zabudowa
skierniewicka to nadal
jednopiętrowe kamieniczki
z lekko spadzistym dachem
i parterowe domy.



Dawny Instytut Sadownictwa i Kwiaciarstwa

Pociąg zatrzymuje się na wysokości tabliczki z napisem „Skierniewice Rawka”. To pierwsza stacja w obrębie miasta. Perony wyremontowano według standardowego biało-niebieskiego, blaszanego sznytu. Jeszcze przez pierwszą dekadę XXI wieku podobne przystanki kolejowe miały postapokaliptyczny wygląd i zapach. Gęsto grawerowane poezją miłości i nienawiści, udekorowane kawałkami szkła, pokryte głęboko rdzawą erozją. Pachniało od nich kwaśno uryną i słodko tanim alkoholem. Charakterystyczna atmosfera zaniedbania została ukrócona przez samorządowców i kolejarzy, wspomaganymi unijnymi dotacjami. Wprowadzono czystość, świeżość i nijakość. Teraz każdy mały przystanek wygląda tak samo, trzeba być czujnym, żeby nie pomylić stacji. Zbudowane od sztancy stacyjki są monotonne niczym rzędy półek w supermarketach.

Na Rawce warto wysiąść i odwiedzić Bolimowski Park Krajobrazowy, który zahacza o Skierniewice. Las jest pozostałością po dawnej puszczy rozciągającej się od okolic Sochaczewa aż po Kampinos. Nieopodal stacji przepływa rzeka Rawka, która ze względu na swój dziki charakter na całej długości ma status rezerwatu przyrody. Mimo to można wypożyczyć kajak i spłynąć jej meandrami, lawirując wśród pni i gałęzi.

Pociąg rusza ze stacji. Następny przystanek to już Skierniewice. Mijane osiedle zostało przyłączone do miasta w latach osiemdziesiątych XX wieku. Najmniejsza pod względem liczby ludności stolica województwa starała się zakamuflować małomiasteczkowość włączając w swój obręb okoliczne wsie. Ściany ekranów akustycznych szczelnie ukrywają krajobraz. Na szczęście po chwili załona znika i otwiera się widok na pola oddzielające Rawkę od miasta. Gęstnieje infrastruktura kolejowa, bo tutaj tory ze Skierniewic rozgałęziają się w stronę Mszczonowa, Tarczyna i dalej do podlaskiego Łukowa. Linia S–Ł została utworzona po II Wojnie Światowej. Budowano ją z powodów strategicznych (wojsko potrzebowało alternatywnej trasy kolejowej wschód-zachód, omijającej Warszawę). Ale przez wiele lat linia służyła mieszkańcom: zapewniała dojazd do pracy i choć trochę decentralizowała Mazowsze, uniezależniając okolicę od Warszawy. Obecnie linia obsługuje jedynie ruch towarowy.

Z okna po lewej stronie wagonu widać zbliżające się zabudowania przydworcowe i kilka bloków z wielkiej płyty, których budowę kończono jeszcze w połowie lat dziewięćdziesiątych. Bloki wyznaczają kierunek do centrum miasta. W oddali po prawej, po drugiej stronie torowiska rysują się wysokie punktowce osiedla Widok z przełomu lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych. Dwie części miasta przecięte dawną Drogą Żelazną Warszawsko-Wiedeńską łączą wiadukt.



Dworzec w Skierniewicach

Skierniewice zawdzięczają połączenie kolejowe regularnym wizytom cara w jego letniej rezydencji. Wraz z przeprowadzeniem przez miasto linii kolei warszawsko-wiedeńskiej, wybudowano tu w 1845 roku pierwszy dworzec, zaprojektowany przez Adama Idźkowskiego w stylu mauretańskim. Wschodnie style architektoniczne nie były wówczas szczególnie popularne w tej części Europy. Podobno w przypadku Skierniewic decyzję podjął sam car Mikołaj I, orientalny wygląd dworca miał utwierdzać jego wizerunek jako władcy wschodu.

Zaledwie trzydzieści lat później, nieopodal poprzedniego, stanął w Skierniewicach drugi dworzec. Było to wynikiem przekazania feldmarszałkowi Bariatyńskiemu przez cara Aleksandra II dóbr skierniewickich, w tym między innymi tutejszego pałacu carskiego. Choć stary dworzec formalnie do tych dóbr się nie zaliczał, feldmarszałek wymówił jego użytkowanie Dyrekcji Drogi Warszawsko-Wiedeńskiej. Pojawiła się konieczność postawienia nowego dworca. Wybudowano go w 1873 roku w modnym wówczas stylu neogotyckim. Dworzec w stylu mauretańskim doczekał drugiej wojny światowej, w czasie której został zbombardowany, a później spłonął.

Budynek neogotyckiego dworca z powrotem pełni swoją funkcję od 2003 roku. Wcześniej przez dziesięciolecia był opuszczony. Potem powoli i dokładnie przeprowadzono przykładowy remont, który odśłanił z zewnątrz neogotycką cegłę. Wewnątrz wykończony jest w łazienkowym stylu. Eklektyzm wzmagać udane socrealistyczne sgraffita. Cykl malowideł przedstawia typologię pracy. Warto zwrócić uwagę na scenkę z planowania odbudowy stolicy oraz typowo socrealistyczne zestawienie – kwatery z robotnikami kładącymi szyny sąsiaduje z obrazem przedstawiającym malarzy i literatów. Zaczynając spacer po Skierniewicach wstąpić można na ciastko i kawę do dworcowej kawiarni lokalnego potentata cukierniczego.

Przed odrestaurowaniem nowego-starego dworca, w latach dziewięćdziesiątych jego funkcję pełnił żółty budynek położony kilkanaście metrów na wschód. W tamtych czasach wokół peronów stało wiele kiosków i słynnych jugosłowiańskich budek K67 z tanimi książkami, prasą, przegryzkami i chińszczyzną. Niemrawych reminiscencji tamtej epoki można doświadczyć pod wiaduktem.

Główne zabudowania do lat siedemdziesiątych rozciągały się na południe od torów kolejowych. Dopiero na fali ekspansji związanej z uzyskaniem statusu miasta wojewódzkiego, rozpoczęto zabudowę w części północnej. Skierniewice na tle okolicznych ośrodków z prawami miejskimi można uznać za nuworysza. Łowicz, Rawa Mazowiecka a nawet Mszczonów mogą pochwalić się o wiele starszym rodowodem. Również pod względem pozycji w regionie, tradycji i kapitału kulturowego Skierniewice miały mniejsze znaczenie. Po reformie administracyjnej z 1975 roku mieszkańcy okolicznych wsi mawiali, że świat stanął na głowie skoro Łowicz nie jest już najważniejszym miastem w okolicy. Mówiło się, że nobilitacja Skierniewic miała podtekst polityczny. Łowicz jest przecież miastem z gęstą tkanką historyczną wykształconą w okresie I i II Rzeczypospolitej. Jest też siedzibą diecezji.

Dużo wysiłku włożono, by przegonić sąsiadów i zasłużyć na miano „stolicy regionu”. Budowano bloki na Widoku i włączano do miasta wsie takie jak Rawka. I choć dziś stołeczność Skierniewic należy już do przeszłości, to wielkomięskie marzenia i aspiracje nadal rozpalają wyobraźnię mieszkańców. Kilka lat temu w lokalnej gazecie ogłoszono, że niebawem w centrum miasta rozpocznie się budowa wysokiego szklanego biurowca.



Adam Petryna

W Izbie Historii Skierniewic można obejrzeć dzieła Adama Petryny, artysty ludowego, pochodzącego z pobliskich Zapad. Petryna rzeźbił i rysował, najczęściej portrety na zamówienie. Nie ograniczał się jednak do pracy artystycznej, działał także społecznie. Próbował otworzyć Muzeum Reymonta w Lipcach, a oprócz tego zainspirował powstanie w 1930 roku Ogniska Księżackiego w Żłakowie Kościelnym. Ognisko zrzeszało ludowych artystów, zarówno malarzy i rzeźbiarzy, jak i tkaczy i twórców wycinanek. Wkrótce po powstaniu Ognisko stało się celem ataków ze strony lewicy. Stowarzyszeniu zarzucano m.in., że wspiera „prywatnych chałupników” zamiast zatrudniać bezrobotnych. Ognisko zostało zlicytowane w 1935 roku, a Adam Petryna powrócił do Zapad, gdzie tworzył aż do swojej śmierci w 1942 roku.

Choć był to primaaprilisowy żart, rodził dwuznaczne emocje: z jednej strony poczucie absurdu (po co w naszym mieście taka budowla?), z drugiej rozczarowanie (szkoda, że to tylko dowcip, wspaniale byłoby stać się wielkim miastem z wysokimi szklanymi domami).

Spadkiem po wojewódzkich latach wydają się być anizozje na linii miasto-wieś. Od lat siedemdziesiątych do nowo powstałych osiedli i pracy w zakładach przemysłowych ściągano mieszkańców okolicznych wsi. Nagle społeczność miasta stała się niezwykle zróżnicowana ze względu na pochodzenie, a między „nowymi” a „starymi” pojawiły się konflikty. Do dziś słowo „wieśniak” można niezwykle często usłyszeć w roli inwektywy. To właśnie w międzyludzkich relacjach kompleks małego miasta godzi w jego najbliższą, wiejską okolicę. Co ciekawe, zaledwie kilkaset kilometrów od Skierniewic, w odległości tylko czterech stacji kolejowych w stronę Łodzi znajdują się Lipce Reymontowskie, czyli miejscowość opisana w powieści *Chłopi*. Archetyp mazowieckiej wsi, chłopskości, kultury ludowej, przywiązania do ziemi. To sąsiedztwo dla wielu „mieszczan ze Skierniewic” musi być kłopotliwe. Zwłaszcza, że nazwisko Boryna jest w okolicy bardzo częste.

Kilka lat temu na peronie dworca głównego ustawiono rzeźbę przedstawiającą Stanisława Wokulskiego z *Lalki* Bolesława Prusa (patrona tutejszego liceum z tradycjami). Powieściowy bohater wysiadł z pociągu w Skierniewicach i rozważał popełnienie samobójstwa nieopodal stacji. Został uratowany przez dróżnika i przeszedł przemianę duchową. Z historii Wokulskiego dla współczesności został wyciągnięty wątek najbardziej grywalny – miłosny. Nieszczęśliwie zakochani mogą wstawiennictwu bohatera *Lalki* powierzać swoją beznadziejną sytuację poprzez wsunięcie miłosnego listu do kieszeni surduta. To nie ostatni brązowy postument z serii turystycznych atrakcji miasta. Znaleźć tu można także pomniki upamiętniające sadownictwo, dziedzinę, która jest wizytówką miasta i zarazem najbardziej udaną realizacją modernizacyjnych zapędów. Rzeźba jabłoni znajduje się na placu przed dworcem, na rynku zaś ustawiono ławeczkę z profesorem Pieniążkiem – postacią w dziejach Skierniewic wyjątkową.

Szczepana Pieniążka nazywa się odnowicielem polskiego sadownictwa. Przed drugą wojną światową studiował botanikę na Uniwersytecie Warszawskim. Początkowo był teoretykiem, specjalizował się w cytologii roślin. Właśnie kogoś takiego poszukiwano na Wydziale Ogrodniczym SGGW w Skierniewicach. Potrzeba było naukowca, który uzyskawszy za granicą doktorat w dziedzinie praktycznej, mógłby w przyszłości zmodernizować



Pałac Prymasowski

Dwór arcybiskupa znajdował się na terenie dzisiejszych Skierniewic już w XIV wieku. Rezydowali w nim czasowo metropolici gnieźnieńscy. Ich główna siedziba znajdowała się w niedalekim Łowiczu, którego kłopoty stały się przyczyną wzrostu znaczenia skierniewickiego pałacu. Po Potopie Łowicz był mocno zniszczony. Bliskość stołecznej Warszawy skłaniała do utrzymania siedziby w okolicy. Padło na Skierniewice, które z walk ze Szwedami wyszły w miarę obronną ręką. Od połowy XVII wieku arcybiskupi osiedli w Pałacu Prymasowskim na stałe.

Wcześniej, w latach 1610–1619 na miejscu drewnianego dworu wybudowano murowany. Był to jednocześnie pierwszy murowany budynek w mieście. Początkowo niewielki, wraz z wzrostem znaczenia był kilkakrotnie przebudowany. Obecny kształt pałacu zawdzięczamy projektowi Efraima Schroegera z 1780 roku. Dobudowano wówczas dwie osie od wschodu, kaplicę z galerią, a także zmieniono fasadę i wnętrze. Pałac był otoczony budynkami gospodarczymi, oranżerią i parkiem, które składały się na Osadę Pałacową. Przed powstaniem listopadowym budynek przez pewien czas pełnił funkcję koszar wojskowych, później przeszedł na własność carów. Po uzyskaniu niepodległości przez Polskę, Osada Pałacowa i pobliskie tereny rolne przypadły Szkole Głównej Gospodarstwa Wiejskiego. Dziś mieści się tam siedziba Instytutu Ogrodnictwa.

Pałac, od początku swojego istnienia, otoczony był parkiem. Szczególną troską objął go prymas Ignacy Krasicki, mieszkający w Skierniewicach w ostatnich latach XVIII wieku. Degradację terenowi zielonemu przyniósł pobyt w pałacu carskich oficerów. Blask wrócił dopiero za czasów carskiej rezydencji. Ogród został zmieniony w park krajobrazowy i zwiększył swoją powierzchnię – w szczytowym momencie sięgał poza dzisiejsze tory kolejowe.

Obecnie park jest oczywiście popularnym miejscem spacerów, przyciąga też młode pary, które upodobały sobie zdjęcia ślubne w parkowej scenerii. Zwraca uwagę scena koncertowa w formie klasycyzującej rotundy. Jej wygląd, zwłaszcza w historycznym parku, może być mylący. Liczy ona sobie bowiem zaledwie kilka sezonów. Podczas dużej rewitalizacji parku zastąpiła znajdującą się w tym samym miejscu prostą, modernistyczną muszlę koncertową o rodowodzie powojennym.

polskie sadownictwo. Propozycja zagranicznego stypendium była dla młodego Pieniążka na tyle obiecująca, że zdecydował się zmienić dziedzinę badań. Przed wyjazdem do Stanów Zjednoczonych niewiele wiedział o sadownictwie, dlatego w 1938 roku po raz pierwszy zawitał do Skierniewic.

Wkrótce potem wyjechał na Uniwersytet Cornella, gdzie spędzić miał trzy lata. Jednak z powodu wojny do Polski powrócił dopiero w 1946 roku, już jako profesor. Objął Katedrę Sadownictwa SGGW w Skierniewicach po zmarłym w powstaniu warszawskim profesorze Goriaczkowskim i zamieszkał w Osadzie Pałacowej – osiedlu pracowniczym znajdującym się wokół Pałacu Prymasowskiego.

Cztery lata później zapadła decyzja o przeniesieniu wydziałów uczelni na warszawski Ursynów. W Skierniewicach miały być utworzone instytuty ogrodnicze, między innymi Instytut Sadownictwa, którego zorganizowanie powierzono profesorowi Pieniążkowi. Choć, z powodu problemów mieszkaniowych, początki pracy nie były łatwe, instytut powoli się rozwijał. Opracowywano skuteczne sposoby walki ze szkodnikami oraz metody przechowywania zbiorów. Testowano nowe odmiany, które sadownicy wprowadzali do swoich szkółek. Profesor od początku apelował, by ograniczono liczbę hodowanych odmian na rzecz kilku najbardziej wartościowych pod względem jakości i możliwości przechowywania. Z USA sprowadzono McIntosha, Lobo czy Idared. Dzięki temu Polska stała się liczącym na świecie producentem jabłek.

W tym czasie w Skierniewicach prowadzono intensywną działalność wydawniczą i szkoleniową w dziedzinie ogrodnictwa. Powstawały laboratoria, plantacje doświadczalne, ale także osiedla pracownicze. Wokół Instytutu wykształciło się środowisko o zróżnicowanej strukturze. Tworzyli je przyjezdni – w większości przedwojenni profesorowie, technicy i inżynierowie zatrudnieni i kształcący się na miejscu, pracownicy z okolicznych wsi. Między plantacjami w obrębie miasta a tymi w okolicy kursowały białe elektryczne samochodziki – melexy. Nad miastem górowała mozaika przedstawiająca Adama i Ewę znajdującą się na budynku centrum kształcenia kadr ogrodniczych – można ją ciągle oglądać przy skrzyżowaniu ulic Reymonta i Wita Stwosza.

Krytycy uważają, że działalność Pieniążka zwiększyła tylko skalę produkcji polskiego sadownictwa, a ceną za rozwój był „upadek” tradycyjnego sadownictwa i zniknięcie starych odmian jabłek. Kosztele, antonówki, papierówki, renety, czy koksy nie wytrzymały konkurencji z łatwiejszymi w uprawie i magazynowaniu nowymi odmianami. Mimo to dorobek Instytutu w dziedzinie ogrodnictwa wpłynął zasadniczo na tożsamość miasta.

Na rogatkach miasta tablice informacyjne dumnie obwieszczają: „Skierniewice. Stolica nauk ogrodniczych”. Od wielu lat w Skierniewicach odbywa się również wielki festyn „Święto kwiatów, owoców i warzyw”, który mimo rozrywkowego charakteru, wskazuje co w mieście liczy się najbardziej.

Na początku lat pięćdziesiątych, w związku z powstawaniem instytutów ogrodniczych, w Skierniewicach wznoszono budynki w obowiązującym wtedy stylu socrealistycznym. Potem, za czasów województwa, dominować zaczął modernizm. Mimo skali ówczesnych inwestycji typowa skierniewicka zabudowa pozostała zupełnie inna. Wokół rynku przeważały jednopiętrowe kamieniczki z lekko spadzistymi dachami. Przy kolejnych przecznicach zamieniały się one w parterowe, drewniane (rzadziej murowane) domy, skupione wokół niewielkich podwórek ze wspólnymi ulicznymi hydrantami, gdzieś po dziś dzień, zaopatrującymi mieszkańców w wodę. Pojedyncze większe kamienice zostały zburzone. Współcześnie opustoszałe place wypełniane są nijaką architekturą obowiązkowo pokrywaną grubą warstwą różnokolorowo tynkowanego styropianu. W Skierniewicach nowe jest nadal na piedestale. Do historycznej zabudowy podchodzi się z dużą dezynwolturą. Może nie ma jednak czego żałować? Po prostu niewyróżniająca się architektura z początku XX wieku zastępowana jest niewyróżniająca się architekturą z początku XXI wieku.

Mimo zmian (a może właśnie dzięki nim), warto odwiedzić Skierniewice nie tylko ze względu na obowiązkowe atrakcje krajoznawcze pokroju Pałacu Prymasowskiego, kościoła Świętego Jakuba, dworca czy parowozowni. Krążąc po mieście można poczuć atmosferę małego miasta typowego dla ziem od Konina po Władystok. Nie bez powodu skierniewickie placyki i uliczki, które zachowały jeszcze swój historyczny wygląd, wykorzystywane są jako lokalizacje filmowych scen rozgrywających się gdziekolwiek na Syberii.

Błonie

W fabryce Mera-Błonie
łącznie wyprodukowano
1 203 663 zegarki.

MERA-BŁONIE



Dawna fabryka Mera-Błonie

Historia Błonia jest długa i bogata Świadczy o niej chociażby układ ulic miejskich czy kilka interesujących, zabytkowych obiektów. Już to wyróżnia Błonie spośród wielu innych podwarszawskich miejscowości i zadaje kłam stereotypowi „nudnych mazowieckich miasteczek”. O wyjątkowości Błonia decyduje jednak coś jeszcze. W mieście przez pięćdziesiąt lat działała niezwykła fabryka – Zakłady Mechaniczno-Precyzyjne Mera-Błonie. Produkowano tam między innymi zegarki, które wzięły swoją nazwę od miejscowości. Były lata, w których nazwa Błonie znaczyła tyle co szyk i prestiż.

Ale historia błońskiej innowacyjności zaczyna się o wiele wcześniej. Już w XVIII wieku miasteczko słynęło z różnorodnych zakładów usługowych i rzemieślniczych oraz sklepów i niewielkich fabryk. Przełomowy dla rozwoju Błonia moment miał miejsce na początku XX wieku: najpierw, w 1902 roku, przez miasto przeprowadzona została linia kolejowa Warszawa – Kalisz. Dziesięć lat później, tuż przy torach, powstała pierwsza z błońskich fabryk, które zyskać miały ogólnopolską sławę. Produkowano w niej zapałki. W okresie przedwojennym zatrudniała

około trzysta osób, a szwedzka firma Kreuger, pod której skrzydłami funkcjonowała, zdecydowanie dominowała zarówno na polskim, jak i światowym rynku produkcji zapałek. Po wojnie zakład został upaństwowiony, lecz ze względu na niską wydajność produkcji w porównaniu z konkurencją, na początku lat 50. postanowiono go zamknąć.

Niedługo potem, w 1953 roku, w Ministerstwie Przemysłu Maszynowego podjęto decyzję o utworzeniu na terenie zlikwidowanej fabryki Zakładów Mechaniczno-Precyzyjnych (później do nazwy dodano człon Mera-Błonie). Zakłady szybko stały się główną osią błońskiego przemysłu. Początkowo produkowano głównie narzędzia dla wojska. Już po dwóch latach profil

Ratusz i rynek

W centrum Błonia znajduje się rynek z odchodzącymi od niego pod kątem prostym ośmioma ulicami. Jest to zachowany od średniowiecza układ urbanistyczny, który sprawia, że łatwo się po mieście poruszać i nie ma problemu z dotarciem do większości najważniejszych punktów w okolicy. Niektóre z kamienic okalających rynek pochodzą z XIX wieku. Współcześnie na środku rynku jest umiejscowiona efektowna fontanna z białego marmuru, ale pierwotnie stał w tym miejscu drewniany ratusz, który spłonął w pożarze w 1727 roku. Nowy zbudowany został po wschodniej stronie rynku po upływie ponad stu lat. Budynek według projektu Henryka Marconiego posiada typowe cechy stylu klasycystycznego. Od frontu ozdobiony jest portykiem tokańskim z czterema kolumnami. Interesującym elementem jest wieża zegarowa z tarasem na szczycie. Murowany ratusz w 1914 roku również uległ pożarowi, a wraz z nim spaliły się akta miejskie. Dziś, po remoncie w latach 90. ratusz wciąż pełni rolę siedziby Urzędu Miasta.

Strażnica i remiza strażacka

Historia istniejącej do dziś Ochotniczej Straży Pożarnej w Błoniu sięga 1905 roku. Siedzibę straży według projektu wybudowano w latach 1912–14 na terenie ofiarowanym przez parafię św. Trójcy. Mieszkańcy chętnie wspierali inicjatywę powstania strażnicy datkami pieniężnymi, ale i strażacy wykazali się pomysłowością w zbieraniu funduszy na ten cel, organizując loterie fantowe czy zabawy taneczne.

Podczas pierwszej wojny światowej remiza pełniła funkcję koszar, przez co uległa znacznym zniszczeniom, rozkradzony został też sprzęt strażacki. W okresie wojny bolszewickiej 1919–21 znajdował się tu szpital wojskowy. Czasem największego rozwoju było dwudziestolecie międzywojenne: zakupiono nowe sprzęty, zorganizowano strażacką orkiestrę. Dobudowano wieżę obserwacyjną, z której dyżurni mieli za zadanie wypatrywać pożary. Niegdyś górowała ona nad miastem i okolicami z o wiele skromniejszą niż dziś zabudową. Straż użyczała swoich czterech pomieszczeń na potrzeby działania szkoły. Funkcjonowała również świetlica, będąca ostoją życia kulturalnego.

Od tamtego czasu budynek tylko w niewielkim stopniu zmienił swój wygląd i nadal z powodzeniem służy ekipie strażackiej. Przetrwiała tradycja tworzenia orkiestry przez członków błońskiej straży, która daje występy przede wszystkim podczas lokalnych uroczystości.

został zmieniony – najwyższe instancje rządowe zdecydowały, że Polska powinna rozwijać przemysł zegarowy. Błyskawicznie ZMP w Błoniu zostało przekształcone w fabrykę zegarków naręcznych. W 1956 roku wybrano i zakupiono radziecką licencję na męski zegarek, po czym nastąpiły dalsze przygotowania do uruchomienia samodzielnej produkcji: nabór i szkolenie pracowników, kupno potrzebnych maszyn, modernizacja budynków produkcyjnych. Równolegle montowano już zegarki z części radzieckich. W 1961 roku gotowa była pierwsza partia zegarków z części wyprodukowanych w Zakładach. Zanim błońskie zegarki trafiały do sprzedaży, dokładność ich chodu była jeszcze przez miesiąc sprawdzana w stacji prób. Jako jedyne produkowane w Polsce zegarki naręczne, zaczęły się one cieszyć szczególnym powodzeniem wśród klientów. Hasło reklamowe „Sprzedaj krowę, sprzedaj konie – kup zegarek marki Błonie” zyskiwało coraz większy oddźwięk wśród kupujących, a realizacja projektu była uważana w całym kraju za ogromny sukces polskiej inżynierii. Produkt ceniono przede wszystkim za wytrzymałość, dobre parametry techniczne i unikalny wygląd. Co jakiś czas odświeżano wygląd tarczy i kopert, wydawanych jako zegarki pod nowym znakiem handlowym, np. Blonex, Alfa, Zodiak lub Polon. Wszystkie modele pracowały jednak na tym samym mechanizmie.

O zakończeniu konstrukcji zegarków w Błoniu, podobnie jak w przypadku jej rozpoczęcia, zadecydowały dość nieoczekiwane władze państwowe w roku 1962. Ostatnia partia została wyprodukowana w 1969 roku, ale część elementów ponownie pochodziła z importu. Łącznie wyprodukowano w Błoniu 1 203 663 zegarki.

Mimo największej rozpoznawalności, już latach 60. zegarki stanowiły zaledwie połowę całej produkcji w fabryce. Oprócz tego wytwarzano technologiczne półprodukty, jak tarcze telefoniczne czy szybkościomierze. Ale z racji stopniowego wygaszania produkcji zegarków szybko nastąpić musiał kolejny zwrot w funkcjonowaniu Zakładów. Tym razem błońscy inżynierowie skupili się na produkcji urządzeń peryferyjnych do komputerów – np. drukarek czy terminali. Wiązało się to, tak jak w przypadku zegarków, z licznymi wyzwaniem i zmianami. Ale szedł za tym także prestiż. Zakłady w Błoniu zaopatrywały wówczas w urządzenia techniczne cały kraj, a także państwa z bloku wschodniego. Taki stan rzeczy trwał do około 1990 roku.

Już w późnych latach 80. fabrykę zaczęły dotykać problemy ze znalezieniem rynku zbytu, a co za tym idzie – kłopoty finansowe. Rok 1991 przyniósł pogłębienie kryzysu spowodowane z napływem do Polski i ZSRR tańszych urządzeń z Dalekiego Wschodu. Skończyło się na zbiorowych zwolnieniach. Ale walka



KS Błonianka Błonie

Klub Sportowy Błonianka założony został w 1917 roku, co czyni go jednym z najstarszych klubów piłkarskich na Mazowszu. W 1919 roku został rozegrany pierwszy mecz towarzyski, dziesięć lat później wybudowano przy boisku drewnianą trybunę z lożą honorową. Co ciekawe, okres II wojny światowej nie zakłócił rozwoju klubu – piłkarze brali udział w licznych konspiracyjnych rozgrywkach, które odbywały się na okolicznych łąkach i polach.

W latach następnych klub wszedł w fazę dynamicznego rozwoju, a przy okazji kilkakrotnie zmieniał swoją nazwę. W 1957 roku liczył sobie łącznie 160 członków w czterech sekcjach. Tu zaczynał karierę między innymi znany kolarz, zawodnik olimpijski, Andrzej Bławdzin. Drużyna piłkarska zaczęła osiągać znaczące wyniki w skali wojewódzkiej.

W 1964 roku uruchomiono w Błoniu stadion: boisko, bieżnię i trybunę. Co jakiś czas starano się ulepszać obiekt. Tymczasem rok później nastąpiło połączenie LZS Błonie z RKS Błonie, istniejącym od 1962 roku pod patronatem Zakładów Precyzyjno-Mechanicznych. Odtąd klub mógł liczyć na wsparcie finansowe „Mery”. W błońskim RKS prowadzone było osiem sekcji: piłki nożnej, lekkoatletyczna, zapaśnicza, bokserska, kolarska, szachowa, podnoszenia ciężarów i hokeja na lodzie. Lepsze warunki treningowe, fachowi trenerzy i zainteresowanie ze strony mieszkańców dodawały zawodnikom RKS wiele motywacji. Ciężka praca sprawiła, że błońscy piłkarze w 1971 roku awansowali do Ligi Okręgowej. Sukcesy odnosili także lekkoatleci. W 1976 roku jako mistrz ligi okręgowej, klub piłkarski niemal awansował do II ligi. Jednak w tym samym sezonie wynikła afera o sprzedany mecz i w efekcie zarówno Błonianka jak i drużyna rywali zostały cofnięte do IV ligi.

Nieustannie aktywny klub doświadczał w dalszym ciągu różnych wzlotów i upadków. W 1992 roku nastąpił powrót do pierwszej nazwy KS Błonianka Błonie. Obecnie zespół gra w IV lidze, ale ma swoich zadeklarowanych fanów doceniających nie tylko samą jego grę, ale również widoczną pasję i zaangażowanie. Od dwóch lat trwają intensywne prace nad przebudową i modernizacją starego stadionu Błonianki. Zawodnicy klubu wkrótce będą mogli rozgrywać mecze także u siebie.

o fabrykę trwała: kilkunastoosobowa grupa wyższej kadry pracowniczej uczestniczyła w restrukturyzacji i poszukiwaniu nowego pomysłu na dochodowe produkty. Podjęto się wyrobu np. automatów telefonicznych i parkometrów. Jednak w obliczu niestabilnej sytuacji rynkowej, dużej konkurencji i bardzo dynamicznych zmianach technologii przy jednoczesnej presji

Poniatówka

W połowie XVIII wieku starosta błoński wybudował w mieście niewielki dworek, mający pełnić funkcję siedziby administracyjnej starostwa. W okresie Księstwa Warszawskiego starostwo błońskie weszło do majątku księcia Józefa Poniatowskiego. Różne podania i legendy głoszą, że księżę przejął również ziemiański dworek i bywało, że rezydował w nim w okresie letnim. Jak dotąd nie udało się potwierdzić, czy jest to prawda. Niemniej, pod wpływem tej historii, budynek od lat jest nazywany Poniatówką.

Później dworek trafiał z rąk do rąk: należał kolejno do członków rodziny Plater-Zyberków, hrabiny Stanisławy Potockiej, po czym otrzymała go w spadku hrabina Walewska, faworyta Napoleona. W okresie międzywojennym był pod zarządem spadkobiercy starosty błońskiego.

W 1939 roku ulokowano w dworku szpital polowy, natomiast po wojnie krótko znajdował się tam gabinet lekarski. Od marca 1945 roku funkcjonował przez dwa lata jako miejsce spotkań błońskiego hufca harcerzy. Potem został przeznaczony na lokal dla gimnazjum i liceum. Okresowo spełniał rolę wyłącznie mieszkaniowe lub stał opuszczony.

Od 1984 roku dotknięty upływem czasu budynek przechodził przebudowę i remont, z zachowaniem pierwotnego wyglądu. Cztery lata później nastąpiło otwarcie w dworku Miejsko-Gminnego Ośrodka Kultury Poniatówka, który działał aż do 2010 kiedy ośrodek kulturalny przeniósł się do wybudowanego nieopodal Centrum Kultury. Jak widać, dworek przez dekady zmieniał często zakres działań. Obecnie planowane jest uruchomienie w zabytkowym obiekcie Muzeum Ziemi Błońskiej, co ma nastąpić już w 2017 roku.

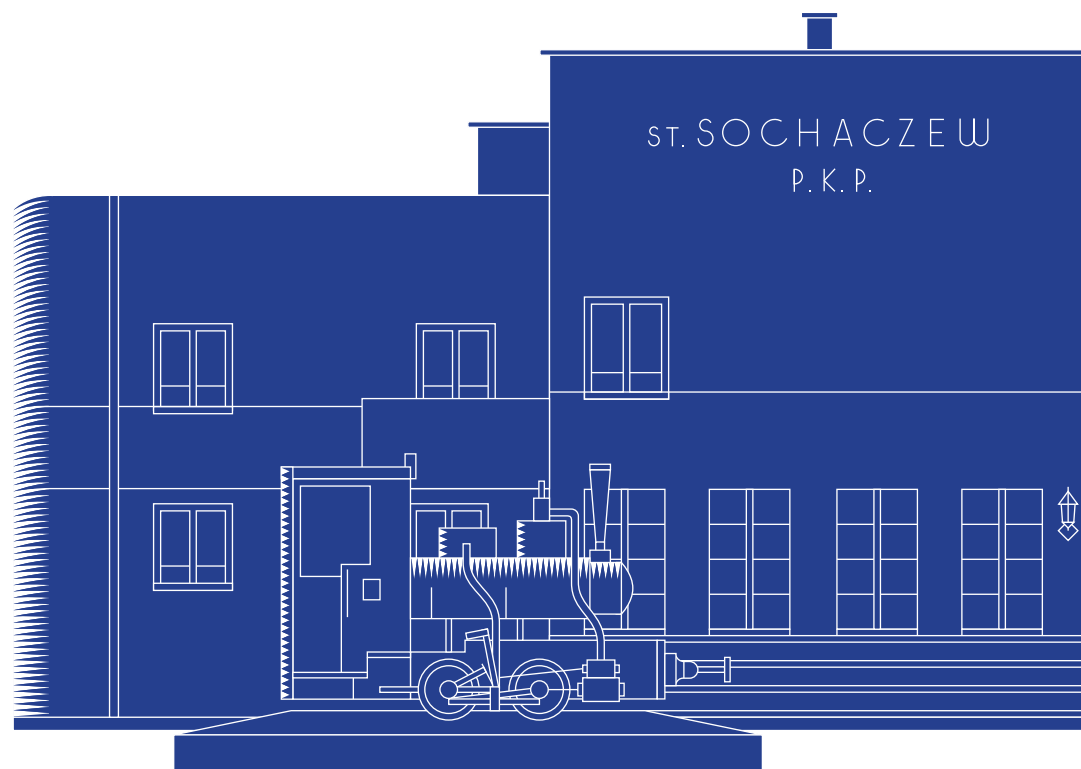
czasowej, wyjście na prostą w kilka lat nie było łatwe. Nie powiodła się też próba prywatyzacji zakładów. Zarazem administracja państwowa nie miała w perspektywie nowych zleceń dla błońskiej fabryki, co w opinii niektórych mogłoby ją uratować. W końcu było już pewne, że Mera nie przetrwa. Wniosek o upadłość Zakładów Mechaniczno Precyzyjnych w Błoniu został złożony 10 marca 2003 roku, niewiele ponad miesiąc od pięćdziesiątej rocznicy ich utworzenia.

W latach najsprawniejszego działania w placówce pracowało około 2300 osób. Wytworzyła się wśród nich społeczność, która oprócz wspólnego miejsca zatrudnienia, w znacznym stopniu była również połączona więzami przyjacielskimi. Integracji sprzyjały organizowane przez zakład rekreacyjne i turystyczne wyjazdy pracownicze czy imprezy okolicznościowe. Działały orkiestra oraz ruch związkowy. Dopóki było to możliwe Zakłady wspierały Robotniczy Klub Sportowy, czyli słynną Błoniankę. Zadbano o utworzenie własnej przychodni zdrowia dla pracowników. Kronikę wszystkich wydarzeń i sukcesów stanowiło pismo „Głos Załogi”. Licznie zawiązywane prywatne znajomości i przyjaźnie niejednokrotnie trwają do dziś.

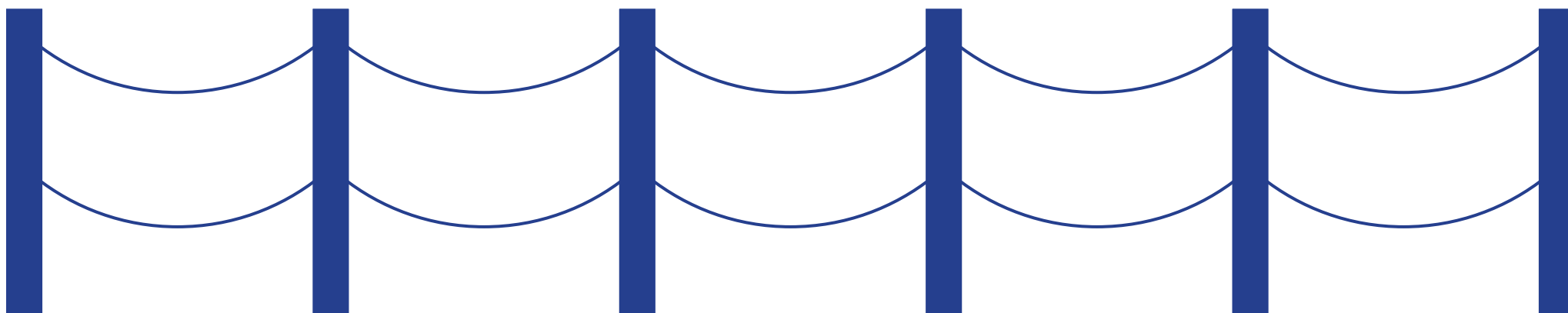
Dla wszystkich tych ludzi – członków załogi Mery – jej upadek był czymś niewyobrażalnym i niesprawiedliwym. Praca przynosiła im poczucie dumy, dla której solidnym dowodem była popularność produktów z Błonia. Z kolei dla posiadaczy zegarków czy dawnych użytkowników błońskich maszyn, marka Błonie pozostaje przepełnionym nostalgią symbolem jakości i najlepszego wykonania.

Sochaczew

Wąskie tory o łącznej długości trzydziestu trzech kilometrów połączyły Sochaczew z Puszcą Kampinoską.



Muzeum Kolei Wąskotorowej w budynku dawnego dworca



W porównaniu z wieloma innymi mazowieckimi miejscowościami, Sochaczew odwiedza całkiem spore grono turystów. Tyle tylko, że większość z nich jest tu tylko na chwilę, przejazdem lub w trakcie przesiadki. Jadą bowiem do pobliskiej Żelazowej Woli i znajdującego się tam Muzeum Urodzenia Fryderyka Chopina. Tym sposobem co roku przez Sochaczew przemyka około dwieście tysięcy osób z całego świata. Większość z nich nie próbuje poznać bliżej tego niepozornego powiatowego miasta.



Książęta Mazowieccy

Nieopodal cmentarza żydowskiego, na niewielkim wznieśieniu, z którego podziwiać można piękny widok na rzekę i okolicę, znajdują się malownicze, niedawno odrestaurowane ruiny zamku książąt mazowieckich. Budowę zamku rozpoczął w XIV wieku książę Siemowit XIV. W czasie panowania książąt mazowieckich zamek miał dużą wartość zarówno militarną, jak i polityczną. Jednak od przyłączenia Mazowsza do Korony pod koniec XV wieku zamek systematycznie podupadał i tracił na znaczeniu. Do stanu ruiny doprowadzony został podczas potopu szwedzkiego. Odbudowy podjęto się w końcu XVIII wieku – zamek miał pełnić funkcje urzędowo-kancelaryjne. W tej formie przetrwał jednak jedynie cztery lata, bowiem w 1794 roku podczas powstania Kościuszkowego został zniszczony przez wojska pruskie. Od tego czasu nie podjęto się prób jego odtworzenia i w przestrzeni miejskiej funkcjonuje jako ruina.

11 listopada 2013 roku po dziesięciu miesiącach prac budowlanych, które pochłonęły aż 5 milionów złotych, oficjalnie otwarto dla zwiedzających odnowione i zabezpieczone ruiny. Dziś są one urokliwym miejscem spacerów i schadzek o zachodzie słońca, w ciągu dnia zaś chętnie bawią się tu najmłodszy mieszkańcy Sochaczewa. Raz w roku, w sierpniu, na terenie zamku organizowany jest historyczny piknik rodzinny Zawisza Czarny nad Bzurą – Sochaczewskie Spotkania z Historią. Jego inicjatorzy chcą nawiązać do wydarzeń z 1544 roku, kiedy to Zawisza Czarny, w Sochaczewie właśnie, wypowiedział w imieniu króla Polski wojnę Zakonowi Krzyżackiemu.

Wciąż nie milkną głosy postulujące pełną odbudowę zamku w jednej z jego form historycznych.

„Przesiadkowy” charakter Sochaczewa nie jest niczym nowym. Właściwie cała historia XX wieku w tym mieście jest związana z podróżami i koleją, a tłem różnorodnych historycznych wydarzeń było powstawianie kolejnych linii. Wszystko zaczęło się, gdy w latach 1900-1902 dzięki zgodzie cara Mikołaja II zbudowana została kolej łącząca Warszawę z Kaliszem przez Sochaczew, Łowicz, Łódź i Sieradz. Była to linia szerokotorowa, typowa dla rosyjskich kolei – miała ułatwić wymianę handlową między terenami carskiego imperium. Podczas wojny Niemcy przebudowali linię na normalnotorową i dobudowali drugi tor. W 1918 roku przejęły ją Polskie Koleje Państwowe – do 1922 roku stanowiła główne połączenie pomiędzy centralną Polską a ziemiami byłego zaboru pruskiego. Później jej znaczenie zaczęło maleć, choć po II wojnie światowej została stopniowo zelektryfikowana. Dziś trasa jako całość już nie funkcjonuje, jedynie jej odcinki wchodzą w skład innych tras.

Linia Warszawa – Kalisz pozwoliła na szybki rozwój miasta na początku XX wieku. Stało się ono dogodnym miejscem do inwestycji – w 1913 roku belgijska spółka otworzyła fabrykę sztucznego jedwabiu, w której zatrudnienie znalazło aż sześćset osób. Niestety po I wojnie światowej Sochaczew był jednym z najbardziej zniszczonych miast w Polsce. W związku ze skalą spustoszeń Sejmik Powiatowy w 1919 roku zdecydował o budowie kolejnej linii kolejowej, tym razem wąskotorowej, do Puszczy Kampinoskiej skąd pozyskiwano drewno do odbudowy miasta. Tory o łącznej długości trzydziestu trzech kilometrów łączyły Sochaczew z miejscowością Piaski Królewskie po drugiej stronie Kampinosu, która była głównym punktem przeładunkowym. Następnie trasa prowadziła do Wyszogrodu po drugiej stronie Wisły. Prowizoryczne, służące odbudowie tory szybko zdobyły nowe funkcje – już w 1922 roku na linii otwarto połączenia pasażerskie. Najlepsze czasy Sochaczewskiej Kolei Dojazdowej przypadły dopiero na lata czterdzieste i pięćdziesiąte, kiedy to przewoziła już nie tylko drewno, ale też węgiel i żywność, a także przez wiele lat pozostawała głównym środkiem transportu okolicznych mieszkańców. Jednak w latach osiemdziesiątych zanotowano spadek liczby pasażerów i zarząd zaczął dążyć do likwidacji linii. Ostatni regularny kurs pociągu na linii Sochaczew – Wyszogród odbył się 30 listopada 1984 roku.

Dziś Sochaczew jest przystankiem końcowym na trasie Kolei Mazowieckich z Warszawy, ale można tu także dojechać pociągami TLK i IC kursującymi do Łowicza, Bydgoszczy czy dalej do Szczecina. Zabytkowy dworzec kolejowy z czerwonej cegły, pamiętający czasy Kongresówki, jest zachęcającą wizytówką miasta. A Sochaczewska Kolej Dojazdowa, choć nie zapewnia już regularnych połączeń do Wyszogrodu, stanowi jedną z głównych atrakcji turystycznych miasta. Już w dwa lata po jej zamknięciu udało

się zorganizować na terenie stacji Muzeum Kolei Wąskotorowej, które jest jednym z największych tego typu obiektów w Europie. W roku 2016 muzeum stało się filią nowej instytucji kultury, Stacji Muzeum w Warszawie. Na terenie byłej stacji kolejowej znajduje się obecnie około dwustu jednostek taboru wąskotorowego. Do najbardziej obleganych eksponatów należą niewątpliwie wagon sypialny, w którym swego czasu podróżował generał Wojciech Jaruzelski oraz samochód marki Warszawa dostosowany do jazdy po szynach. W salach dworca można obejrzeć wystawę dokumentującą historię i codzienne życie kolei wąskotorowej w Polsce. Staroświeckie muzeum jest pełne sentymentalizmu za utraconymi wąskotorówkami. Na ścianach wiszą mundury pracowników, których stanowiska zostały już zlikwidowane. Szare mapy pokazują zlikwidowane linie w różnych częściach Polski. A wszystkie zegary w muzeum pokazują tę samą godzinę – 15:35. Jest to godzina, o której ze stacji wyjechał ostatni kurs wąskotorowego pociągu pasażerskiego.

Muzeum w sezonie letnim organizuje wycieczki koleją wąskotorową do Puszczy Kampinoskiej. Od kwietnia do października raz dziennie turyści mogą wyruszyć w osiemnastokilometrową trasę, która biegnie doliną Bzury przez Chodaków, Brochów i Tułowice. Z okien starych wagonów można dostrzec m.in. wieżę kościoła w Brochowie, gdzie został ochrzczony Fryderyk Chopin. Po ponad godzinie jazdy pociąg dociera do ostatniej stacji w miejscowości Wilcze Tułowskie, która jest położona na samym skraju Puszczy. Tam, nad rzeką Łasicą, zaplanowany jest piknik z ogniskiem, w niepowtarzalnej scenerii kampinoskiej puszczy, pełnej wydm, mokradeł i starych drzew.

W samym Sochaczewie Kampinosu niemal już nie ma. Większość odbudowanego z drewna miasta spłonęła w czasie II wojny światowej.

w XIX wieku znalazł się w obrębie Sochaczewa. Przez wiele lat chowano na nim także Żydów z Warszawy. W czasie II wojny światowej cmentarz został zdevastowany, a Żydów zmuszono do wrywania macew, wykorzystywanych później do prac budowlanych. W zbiorach Żydowskiego Instytutu Historycznego zachowała się fotografia wykonana na cmentarzu na przełomie lat 40. i 50., przedstawiająca dziesiątki zniszczonych nagrobków. Cmentarz sukcesywnie zniknął: w latach 70. na jego terenie rozkładał się namiot cyrkowy, a w roku 1981 Urząd do spraw Wyznań usunął cmentarz za nieistniejący.

Przywracanie pamięci o zmarłych sochaczewskich Żydach zaczęło się w latach 80. O odbudowę i zabezpieczenie cmentarza mocno zabiegał miejscowy historyk Paweł Fijałkowski, a także członkowie izraelskiego Komitetu Żydów Sochaczewskich. Dzięki współpracy z władzami miasta udało się teren cmentarza ogrodzić, a następnie w 1989 roku wzniesć pomnik ku czci ofiar Zagłady. Dwa lata później odsłonięto także pomnik poświęcony sochaczewskim Żydom. Dzięki zaangażowaniu Jehudy Widawskiego, polskiego przedsiębiorcy ocalałego z łódzkiego getta i mieszkającego obecnie w Izraelu, udało się odbudować ohel miejscowych cadyków. Obecnie poza pomnikami i ohelem na terenie cmentarza znajduje się kilkadziesiąt nagrobków oraz symboliczna ściana płaczu. Umieszczono na niej napis: „Pamiętaj! Żydzi z Sochaczewa i okolic żyli tu przez 600 lat. Zostali unicestwieni przez nazistów w latach 1939–1945”. Większość prac na cmentarzu została sfinansowana przez pana Widawskiego i innych prywatnych darczyńców z Izraela, Szwajcarii i Stanów Zjednoczonych.

Co jakiś czas na cmentarzu dochodzi do aktów wandalizmu, które spotykają się z potępieniem społeczności miasta. Z drugiej strony, kiedy w latach dziewięćdziesiątych zmieniano nazwy ulic pojawił się pomysł, by ulicę Sierpniową nazwać imieniem cadyka Abrahama Bornsteina, części mieszkańców zareagowała histerycznie. W liście protestacyjnym do rady miasta pisali „Mieszkamy w katolickiej Polsce, nie w Izraelu!”. Ostatecznie nie zdecydowano się na tę zmianę.

Aby dostać się na teren cmentarza, należy najpierw odwiedzić kwaciarnię usytuowaną na rogu ulic Sierpniowej i Traugutta, by od przemiłej pani właścicielki odebrać klucze. Zagadnięta, bardzo ciepło opowiada się o panu Jehudzie Widawskim i jego działaniach na rzecz upamiętnienia żydowskiej społeczności Sochaczewa.

Żydzi w Sochaczewie

Przy ulicy Sierpniowej, na wschodnim brzegu rzeki Bzury, znajduje się jeden z najstarszych cmentarzy żydowskich w Polsce – został założony najprawdopodobniej już na przełomie XV i XVI wieku. Początkowo znajdował się poza miastem, dopiero →

Modlin

Choć nikt już nie pilnuje bram
Twierdzy, to przy wjeździe
nie sposób pozbyć się wrażenia,
że znajdujemy się w enklawie.



Dawny dom podoficerski

W połowie lat 80. szlabany Twierdzy Modlin uniosły się i już więcej nie opadły. Zamknięte osiedle wojskowe, położone na terenie dawnej napoleońskiej twierdzy, przez dziesięciolecia niedostępne dla osób postronnych, zostało zdemobilizowane i powoli zaczęło otwierać się na mieszkańców innych niż żołnierze i ich rodziny.

Wcześniej na teren osiedla można było dostać się wyłącznie przez jedną z dwóch bram i za okazaniem przepustki. Wjazd do Twierdzy przypominał kontrolę graniczną – kto nie posiadał odpowiednich dokumentów, nie zostawał wpuszczony. Przepustki szczególnie restrykcyjnie sprawdzane były na wejściu, nieco mniej bezwzględnie przy opuszczaniu osiedla, szczególnie przez jego stałych mieszkańców. Dochodziło więc do sytuacji, że gdy ktoś nieopatrznie opuszczał mury Twierdzy bez dokumentów, tracił potem bardzo dużo czasu i energii by wrócić do własnego domu.

Po otwarciu szlabanów Twierdza Modlin stała się osiedlem mieszkaniowym nr 6 Nowego Dworu Mazowieckiego. I choć nikt już nie pilnuje by na jego teren nie dostały się niepożądane jednostki, to jednak przy wjeździe nie sposób pozbyć się wrażenia, że znajdujemy się w enklawie. Cesarz Francuzów nie przez przypadek wybrał to miejsce na budowę swojej twierdzy. Od reszty miasta odcinają ją nie tylko głęboka fosa i solidne mury ale również Narew, która u stóp modlińskiej cytadeli łączy się z Wisłą. To odcięcie sprawia, że osiedle mieszkaniowe nr 6 żyje swoim własnym, niezależnym rytmem. Jego sześć tysięcy mieszkańców zna się ze sobą jak społeczność małego miasteczka. Rzadko kiedy mówią o sobie „nowodworzanie”. Przeważnie, że „są z Twierdzy”.

Na teren Twierdzy wjeżdża się dziś w miejscu dawnej bramy kolejowej. By dotrzeć do pierwszych zabudowań mieszkalnych trzeba najpierw przejechać spory kawałek wzdłuż fosy, wśród drzew, które po pewnym czasie zaczynają tworzyć Park Trzech Kultur. Wkrótce, po prawej stronie, wyłania się stylizowany na gotycki gmach Kasyna Oficerskiego. Choć ten piękny, XIX-wieczny budynek posiada dobrze zachowane, oryginalne wnętrza, jest zamknięty dla odwiedzających z ulicy. Do środka wejść można wyłącznie z przewodnikiem. Warto to zrobić, szczególnie z uwagi na imponujące sale: kinową i balową oraz prowadzące do nich białe, marmurowe schody z bogato zdobionymi, kutymi poręczami. Kasyno było pierwszym budynkiem na terenie Twierdzy wyposażonym w centralne ogrzewanie. Posiadało również oryginalny system mechanicznej klimatyzacji.

Przed demilitaryzacją w kasynie mieścił się klub garnizony. Działo w nim 14 różnych kółek zainteresowań: od szachowego, przez taneczne i teatralne, po plastyczne. Oprócz tego

dobrze zaopatrzona biblioteka, restauracja i kino, w którym trzy razy w tygodniu odbywały się projekcje.

Dziś budynek kasyna, własność miasta Nowy Dwór Mazowiecki, jest permanentnie zamknięty, gdyż jego stan grozi katastrofą budowlaną (w jaki sposób od tej katastrofy uchronić może towarzystwo przewodnika?). Niestety nic też nie zapowiada, by ta sytuacja miała ulec zmianie, władz miasta nie stać na kosztowny remont. A mieszkańcy Twierdzy, by wybrać się do kina lub do biblioteki, muszą przeprowić się przez Narew.

Jadąc dalej ulicą Ledóchowskiego, a następnie skręcając w lewo w Poniatowskiego, dociera się do osiedla carskich bloków oficerskich z przełomu XIX i XX wieku. W wysokich, 3,5-metrowych mieszkaniach, zachowały się oryginalne piece. Budynki nie są podpiwniczone – funkcję piwnic pełnią małe, murowane komórki między blokami. Podobne osiedle, choć w nieco niższym standardzie, przeznaczone dla podoficerów, znajduje się w trójkącie ulic Moniuszki, Kadetów i Szpitalnej. Wystarczyłoby pozdejmować z okien talerze satelitarne by poczuć się jak w XIX wieku. Z tego powodu Twierdza Modlin często gości ekipy filmowe.

Najdłuższym budynkiem, nie tylko na terenie osiedla mieszkaniowego nr 6 w Nowym Dworze Mazowieckim, ale też



Miejsce, które pokochali filmowcy

Mimo że wojsko nie stacjonuje już w Twierdzy, to nie przestała być ona oblegana – regularnie szturmują ją ekipy filmowe. Przewodniczka i znawczyni Modlina, Janina Bystryk, wprost katapultuje zwiedzających tytułami kręconych w Modlinie produkcji. Jak twierdzi, było ich ponad siedemdziesiąt. Wśród nich *CK Dezerterzy*, *Bitwa Warszawska*, *Czas Honoru*, *Dzwony Wojny*, *Anioł Śmierci*. Można wywnioskować, że Modlin to idealne pole filmowej bitwy, ale na tym nie kończy się jego potencjał. Kręcono tu również filmy, które nie kojarzą się wcale z klimatami militarystycznymi – na przykład *Annę Kareninę*, serial *Bodo* o polskim Rudolfie Valentino i... *Quo Vadis*. Jak widać, to miasto może przemienić się nawet w stolicę imperium.

w całej Europie, są carskie koszary. Budynek o imponującej długości 2250 m mógł pomieścić nawet 20 tysięcy żołnierzy. Po wojnie mieścił się tu hotel wojskowy, od numeru budynku zwany Hotelem 200. Wojskowi, a z czasem też ich rodziny, mieszkali tu do czasu, aż przydzielono im mieszkanie. Choć warunki panowały tam nielekkie, większość mieszkańców Hotelu 200 bardzo dobrze wspomina ten czas: „Jedna łazienka, na samych mężczyzn wystarczyła, ale jak przyszły kobiety, a później i dzieci, to już było kłopotliwe. Ludzie przywozili sobie pralki, pozawieszali sznury, wszędzie wisiała damska galanteria... Ale żyło się bardzo rodzinnie. Wszyscy się wspomagali. To był okres trudny mieszkaniowo, ale bardzo fajny społecznie. Ze szklanką chodziło się od pokoju do pokoju, szukało soli, cukru, albo flaszki *bo zabrakło*” – wspomina emerytowany lotnik, Wawrzyniec Siewruk, który mieszkał w Hotelu 200 od 1974 do 1975 roku.



Baśka – najłagodniejsza niedźwiedzica

Wojtek to nie jedyny niedźwiedź-bohater w polskich szeregach. W modlińskich zaroślach co co jakiś czas można spotkać białego misia. Seria niewielkich pomników upamiętniających Baškę Murmańską to hołd złożony łagodności, ale i gorzki znak pamięci o ludzkiej chciwości. Baškę na targu w Archangielsku w 1919 roku kupił polski żołnierz, ta zaś szybko przyswoiła wojskowy dryl i zaskarbiła sobie serca towarzyszy broni. Uległ jej nawet Józef Piłsudski. Marszałek i niedźwiedzica poznali się w 1919 roku, kiedy maszerowała obok żołnierzy w czasie defilady na placu Saskim. Zaintrygowany Piłsudski podszedł, a ona natychmiast zasalutowała i podała mu łapę. Umiała zrobić dobre wrażenie. Jej dni były już wówczas policzone: jeszcze tej samej zimy podczas kąpieli zerwała się z łańcucha i przepłynęła na drugą stronę rzeki. Podobno nim żołnierze zdążyli się przepawić po ulubienicę, padła ona łupem jednego z chłopów, który zobaczył w niej jedynie futro dla żony Maryśki. Choć historia o mazowieckich chłopach, którzy bez zawahania mordują niedźwiedzie na futro wydaje się niebytnie prawdopodobna, to jeśli jednak w historii jest kropla prawdy, to pozostaje mieć nadzieję, że Maryśka w futrze Baśki nie prezentowała się za dobrze.

Na południowo-zachodnim krańcu koszar, mieści się Wieża Tatarska, a na niej taras widokowy. Warto się tam wdrapać, by móc podziwiać nie tylko cały teren Twierdzy, ale również spichlerz zbożowy z lat 30. XIX wieku stojący na drugim brzegu Narwi. Autorem projektu jest polski architekt Jan Jakub Gay, ten sam, który zaprojektował m.in. zabudowania fabryczne w Żyrardowie czy papiernię w Konstancinie. Budynek spichlerza miał jednak być jego największym dziełem. I choć dziś podziwiać możemy jedynie jego malownicze ruiny, to do takiego stanu nie doprowadziły go zniszczenia wojenne (w wyniku zbombardowania we wrześniu 1939 spłonęło tylko jego drewniane wnętrze) lecz decyzja komunistycznych władz Warszawy, by jego zabytkowych cegieł użyć do odbudowy stolicy. Dopiero po rozebraniu połowy budynku dalszą dewastację skutecznie zatrzymała interwencja Jana Zachwatowicza, generalnego konserwatora zabytków w latach 1945–57. W ekranizacji *Pana Tadeusza* Andrzeja Wajdy ruiny modlińskiego spichlerza grają zamek Horeszków. Tym, którzy chcą oglądać je z bliższej perspektywy, pozostaje jedynie droga wodna, którą można pokonać na wypożyczonym z pobliskiego ośrodka kajaku.

Z Wieży Tatarskiej rozciąga się również rozległy widok na ujście Narwi do Wisły. Przy dobrej pogodzie można stąd zobaczyć Warszawę.

Jak mieszka się dziś w cieniu wielkiej twierdzy? Podobno bardzo spokojnie. Nie ma tu ani za dużego ruchu samochodowego, ani żadnego przemysłu. Jest za to dużo zieleni, kilka sklepów, przychodnia, poczta, boisko, kawiarnia, restauracja, a raz w tygodniu – miejskie targowisko. Po 1990 roku mieszkania można było wykupywać od wojska z bardzo dużą zniżką. W efekcie, w krótkim czasie wszystkie zostały sprzedane. Mieszkańcy pozawiazywali wspólnoty mieszkaniowe i szare wojskowe bloki, do których wprowadzali się w latach 70. i 80. szybko poddali pastelowej termomodernizacji. Niektóre starsze budynki również zostały ocieplone. Zrobiono to jednak ze smakiem i szacunkiem dla charakterystycznych detali architektonicznych (np. budynki przy ul. Poniatowskiego 125).

Twierdza funkcjonuje niczym osobne, małe miasteczko. Na jej terenie znajduje się żłobek, przedszkole oraz zespół szkół: od podstawowej po liceum. Tylko pracy większość osób szukać dziś musi poza osiedlem. Spore nadzieje wiązano z otwartym w 2012 roku lotniskiem pasażerskim. Szybko jednak okazało się, że do jego obsługi wykorzystywane są zewnętrzne firmy. Przybyło za to przeróżnego rodzaju parkingów dla podróżnych odlatających z Modlina – od dużych, takich jak Alcatraz na terenie Twierdzy po zupełnie malutkie, na prywatnych podwórkach.

Mieszkańców Twierdzy łączy jedna rzecz: praktycznie wszyscy są napływowci. Trafiali do Modlina w efekcie oddelegowania do tej właśnie jednostki i większość z nich po demobilizacji zamieszkała tam na stałe. I choć niektórzy mieszkają tam już nawet od 40 lat, dla części nowodworzan z lewej strony Narwi wciąż są obcymi. Wieloletnie zamknięcie i ograniczony wstęp na osiedle owocował przeróżnymi mitami na temat tego co kryje się po drugiej stronie murów. Szczególnie w starszym pokoleniu jeszcze do dziś funkcjonuje przekonanie, że gdy oni w PRL musieli mierzyć się z permanentnymi niedoborami aprowizacyjnymi, mieszkańcy Twierdzy mieli u siebie Eldorado, a szlabany i kontrole służyły temu, by przymierający głodem



Białe bloki

Spośród architektury mieszkaniowej w obrębie Twierdzy Modlin na szczególną uwagę zasługują, stojące przy ul. Mickiewicza 94, 95 i 96 tzw. białe bloki. Z uwagi na konsekwentne zastosowanie form modernistycznego funkcjonalizmu, te budynki z końca lat 30. zostały w 2015 roku wpisane do rejestru zabytków. Zaprojektowane ze szlachetną prostotą przykuwają wzrok elegancką kompozycją bryły i elewacji. Projektanci (Bronisław Handelsman-Targowski i Jerzy Makowiecki) zestawili ze sobą powszechnie dostępne i stosunkowo tanie wówczas materiały: cementową okładzinę (tańszy substytut stosowanej w tym czasie szarej cegły) oraz klinkier. To kontrastowe zestawienie kolorystyczne w dużej mierze decyduje o estetycznym walorze budynków. Nowoczesnego wyglądu dodają im także balkony o opływowej, miękkiej linii. Białe bloki ogrzewane były piecami. Pod koniec lat 70. część ich mieszkańców wyprowadziło się do świeżo wybudowanych, niewysokich bloków z wielkiej płyty, „na kaloryfery i ciepłą wodę”.

Integracji mieszkańców białych bloków sprzyja ustawienie budynków w podkowę, dzięki czemu pośrodku powstał prostokątny dziedziniec. Pierwotnie w jego centrum stała fontanna od której promieniście rozchodziły się ścieżki. Dziś jest tam plac zabaw z nieczynną fontanną po środku.

mieszkańcu Nowego Dworu nie przyszli i nie rozkradli bogato wyposażonych sklepów.

Od 2008 roku Agencja Mienia Wojskowego próbowała sprzedać najdłuższy budynek w Europie. Udało się to dopiero po 5 latach i 9 przetargach w wyniku których początkowa cena wywoławcza z 220 mln zł stopniała do 17,5 mln zł.

Modlińską fortecę kupiła poznańska grupa Konkret S.A. mająca już na koncie udaną rewitalizację innych XIX-wiecznych zabytkowych obiektów w Polsce. Z informacji prasowych dewelopera wynika, że na terenie Warszawa Modlin Smart City, na którym jeszcze kilkadziesiąt lat temu mieścił się Hotel 200 powstaną m.in. lofty mieszkalne, hotele, centrum kongresowe, biura, galeria handlowa, pole golfowe, uniwersytet i muzeum. Czy ziści się mit o modlińskim Eldorado?

Wołomin

Domem zajmowały się trzy
panie Nałkowskie. Geografka,
rzeźbiarka i pisarka.



Dom nad łąkami



Nikt nie podejrzewał, że przetrwa ponad sto lat. I do tego tak burzliwe i niepewne lata obu wojen światowych. A wybudowany był raczej na chybcika. W trzy miesiące przez lokalnego cieślę w środku lekkiego pofałdowanego lasu sosnowego. Wacław Nałkowski nazywał to miejsce „fałdą utrwaloną”. Podobnie jak dom fałda przetrwała do dziś otoczona siecią jednorodzinnych domów z jednej strony, trasą szybkiego ruchu do Warszawy i McDonaldem z drugiej. W 1995 roku budynek, w 100 rocznicę swojego powstania został oficjalnie przekształcony w Muzeum imienia Zofii i Wacława Nałkowskich.

Okazało się, że budowa domu była największą inwestycją finansową w życiu Wacława Nałkowskiego, choć jej przyczyny wynikały z potrzeby oszczędności. Chodziło o to, aby zminimalizować koszty wakacyjnego wypoczynku organizowanego w Zwierzyńcu pod Krakowem, w domu teściowej Wacława, Anny Šafrankowej. Być może chodziło też o niezależność? Wołomin pod koniec XIX wieku spełniał potrzebne rodzinie walory letniskowe. A po wykończeniu domu okazało się, że w Górkach, bo tak nazywali swoją wakacyjną siedzibę mieszkańcy, można spróbować przetrwać także zimę. Nałkowscy wytrzymali w Wołominie trzy lata. Wrócili do Warszawy tłumacząc się potrzebą dostępu do edukacji dla córek: starszej o cztery lata Zosi i młodszej Hani. Zofia Nałkowska pisze o tym w książce *Mój ojciec*: „jednak co roku wracaliśmy do Górek na letnie miesiące. Czekaliśmy tam kochane zwierzęta, Morus i Półmordek, kury mające też własne imiona, oswojony zając, przez czas niedługi oswojona wrona, wrzeszcząca o byle co, a później już niezapomniana sowa, zwana Wunią, i utrapienie wszystkich zwierząt – mały, ruchliwy i kołący jeź”. Lata spędzone w domu na Górkach to okres najintensywniejszej twórczości Wacława Nałkowskiego. To tu powstał m.in. *Wielki atlas geograficzny ze skorowidzem nazw*, największy do dziś polski atlas, przy którego produkcji pomagała cała rodzina rozkładając i opisując fiszki z nazwami. „Tatko, gdy miał już wszystkiego dość brał konewkę i szedł do ogrodu, tam odpoczywał” – pisze o ojcu Zofia.

Nałkowski zarabiał na życie ucząc geografii w prywatnych szkołach średnich, gdzie językiem wykładowym był język polski: w szkole Hermana Benniego, Henryki Czarnockiej, na pensji Anieli Hoene. Wykładał także na Uniwersytecie Latającym. Nie chciał kolaborować z zaborcą, nie pracował na oficjalnym uniwersytecie i nie miał też środków na podróże. Mimo to był niezwykle płodnym i innowacyjnym autorem. Łącznie opracował ponad 450 pozycji naukowych i publicystycznych. Jego autorstwa są też funkcjonujące do dziś nazwy geograficzne, np. Pustynia Błędownska. Zmarł nagle w styczniu 1911 roku. Jak

podano już we wspomnieniu pośmiertnym w piśmie „Zaranie”: Nałkowski pierwszy objaśnił jak należy podręczniki pisać, aby zbyt nie obciążać pamięci, a natomiast rozjaśnić umysły uczących się. Zmienił z gruntu sposób nauczania geografii. Był propagatorem poglądu, iż geografia winna być „nauką rozumową”, czyli nie tylko rejestrować fakty i zjawiska, ale również wyjaśniać je i interpretować.

Po śmierci ojca domem zajmują się trzy panie Nałkowskie: żona i dwie córki. Każda o innym temperamencie

Bazylika Świętej Trójcy w Kobyłce

Po sąsiedzku z Wołominem, w Kobyłce, znajduje się okazała, późnobarokowy kościół Świętej Trójcy. Trójnawowa bazylika powstała w latach czterdziestych XVIII wieku według projektu Lomardczyka Guido Antonia Longhiego, a ostateczny kształt nadał jej znany warszawski architekt, Jakub Fontana. Dziś to jeden z najpiękniejszych zabytków Mazowsza. Warto ją odwiedzić podczas festiwalu Perła baroku – koncerty mistrzów (w czerwcu), to doskonała okazja do posłuchania barokowej muzyki w kompletnie zachowanym wnętrzu z epoki. Skąd taka wspaniała świątynia w prowincjonalnej Kobyłce? Trzej bracia Załuscy – biskupi: krakowski Andrzej Stanisław, kijowski Józef Andrzej oraz płocki Marcin, zamierzali stworzyć tu, w bliskości stolicy, ważny ośrodek kultury i nauki ze szkołą i biblioteką. Z wielkich planów nic nie wyszło, ale Marcin Załuski, który Kobyłkę upodobał sobie szczególnie, ufundował tu kościół, jezuicki dom zakonny i ośrodek rekolekcyjny dla warszawskich lekkoduchów. Kościół łączy cechy baroku warszawskiego (bardzo szeroka fasada) i finezyjnego baroku wileńskiego (fallowanie fasady i smukłe, zwężające się górze, bardzo plastyczne wieże). Z biało-waniliowymi elewacjami kontrastuje przepych wnętrza, pokrytego niemal w całości iluzjonistycznymi freskami Grzegorza Łodzińskiego i wypełnionego rokokowym wyposażeniem (ołtarze, ambona, chrzcielnica, łoże w prezbiterium). Zabytkiem rzadko spotykanym w Polsce – ze względu na warunki klimatyczne – są freski stacji Męki Pańskiej, odkryte przed kilkunastu laty na bocznych elewacjach kościoła oraz bogata dekorowana kaplica Ogrójca od strony południowej.

i zainteresowaniach. Anna, geografka propaguje działalność i publikacje męża, Hanna zyskuje sławę jako rzeźbiarka, a Zofia jako pisarka. Obie siostry dużo podróżują, mają mężów (Zofia po pierwszym nieudanym małżeństwie wychodzi drugi raz za mąż), prowadzą bogate życie towarzyskie, stąd traktują Górki jako spokojną przystań oraz miejsce do twórczej pracy. To tu



Wołomińskie czołgi

Wołomiński czołg to historia wojny o symbole. Tablica umieszczona na jego cokole głosiła: „W hołdzie bohater-skim żołnierzom 2 Gwardyjskiej Armii Pancernej i żołnie-rzom Polski Podziemnej, którzy w dniach 30 VII–6 VIII 1944 roku stoczyli w rejonie Wołomina na przedpolu Warszawy bitwę z hitlerowskim najeźdźcą”. Istotnie, Armia Radziecka, tocząca pod Wołominem jedną z największych bitew pancernych '44 roku, korzystała ze wsparcia Armii Krajowej, która ujawniła się na tym terenie w ramach akcji „Burza”. Współpraca ta przez wiele lat była niepoprawna politycznie, stąd czołg stanął na postumencie dopiero w 1985 roku. Był to słynny T-34, niefortunnie jednak egzemplarz stojący w Wołominie był modelem z lat 50.–60. i niczym nie przypominał tych z 1944 roku.

W PRL kontrowersyjne było upamiętnienie pomni-kiem AK, po 1989 roku podniosły się głosy wypominające czołgowi jego radziecki rodowód. W 2012 roku władze miasta zdecydowali o jego usunięciu, wywołując tym samym małą lokalną burzę. Nim jeszcze T-34 zjechał do magazynu, w proteście pomalowano go na różowo, a przej-sciowo na pustym cokole postawiono czołg z kartonów.

T-34 z pomnikowego demobilu został ostatecznie przekazany do Liceum Wojskowego w Urlach. Powstał też projekt zastąpienia go w mieście innym pojazdem – francuskim czołgiem Renault FT-17. Był to pierwszy czołg na wyposażeniu Wojska Polskiego, brał udział w Bitwie Warszawskiej, także koło Wołomina. Ustawiony przy wjeździe do miasta, nieopodal Muzeum Nałkowskich, ma opowiadać historię zupełnie innej władzy i zupełnie innej wolności.

powstają najśłynniejsze utwory Zofii Nałkowskiej: *Granica*, *Romans Teresy Hennert*, *Dom kobiet*. To tu toczy się akcja książki *Dom nad łąkami*.

Trudne lata 30., rosnący kryzys ekonomiczny powodują, że w 1937 roku, z powodu braku pieniędzy, panie Nałkowskie zdecydowały się sprzedać Dom nad Łąkami. Nabyła go Krystyna Pułaska, która gospodarowała na Górkach wraz z matką – Stefanią Wasungową. Wtedy też dom został poddany wielu przeróbkom. W *Dziennikach* Zofia Nałkowska zapisała z goryczą: „Górki zostały sprzedane. Nie można już myśleć o wszystkim, co tam było, że o każdej chwili jest do wskrzeszenia... Widok z okien, z okna lewego pokoju – widok z tyłu lat i tych niezapomnianych trzech zim sprzed wojny – w śniegach, w przestrzeni, w pustce”. Rodzina Nałkowskich nigdy już nie powróci do Wołomina.

W czasie II wojny światowej, mimo że w Wołominie toczyły się ciężkie działania wojenne, dom na Górkach ocalał. Mniej szczęśliwie potoczyły się jego losy po 1945 roku. Przejęty przez Administrację Domów Mieszkalnych w Wołominie, został przeznaczony na mieszkania komunalne dla kilku rodzin. Nie remontowany przez wiele lat, Dom nad Łąkami popadł w ruinę, a ogród wokół domu uległ dewastacji – wiele drzew wycięto na opał. W latach 50. lokatorem domu jest Jerzy Surowcew – artysta i dekorator stając się już w 1955 roku inicjatorem utworzenia Muzeum Zofii Nałkowskiej. Wśród papierów po zmarłym w 1976 roku Jerzym Surowcewie, które dotarły do Muzeum Literatury po śmierci jego żony, znajduje się znamieny protokół z posiedzenia Społecznego Komitetu Utworzenia Muzeum Nałkowskich w Wołominie z dnia 13 IV 1958 roku: „Niedopuszczalne jest zółwie tempo pracy Komitetu nie przejmującego się atakami prasy. W momencie, kiedy Ministerstwo Kultury zdobywa środki finansowe dla realizacji powstania placówki o kulturalnym znaczeniu na skalę krajową, w Wołominie panuje skandaliczny bezwład”. Projekt przebudowy domu dopiero po dwudziestu latach trafia z powrotem do Urzędu. W efekcie remontu proponowano wtedy stworzyć nowobogacką willę otoczoną amfiteatrem i parkingiem dla całego miasta. Projekty przewidywały także wyasfaltowane, liczące sześć metrów szerokości ścieżki, wycięcie drzew oraz tzw. małą architekturę, wśród której znalazły się betonowe żaby. Po wielkich planach zostały tylko schody nierówno położone z płyt chodnikowych oraz wykopana sadzawka.

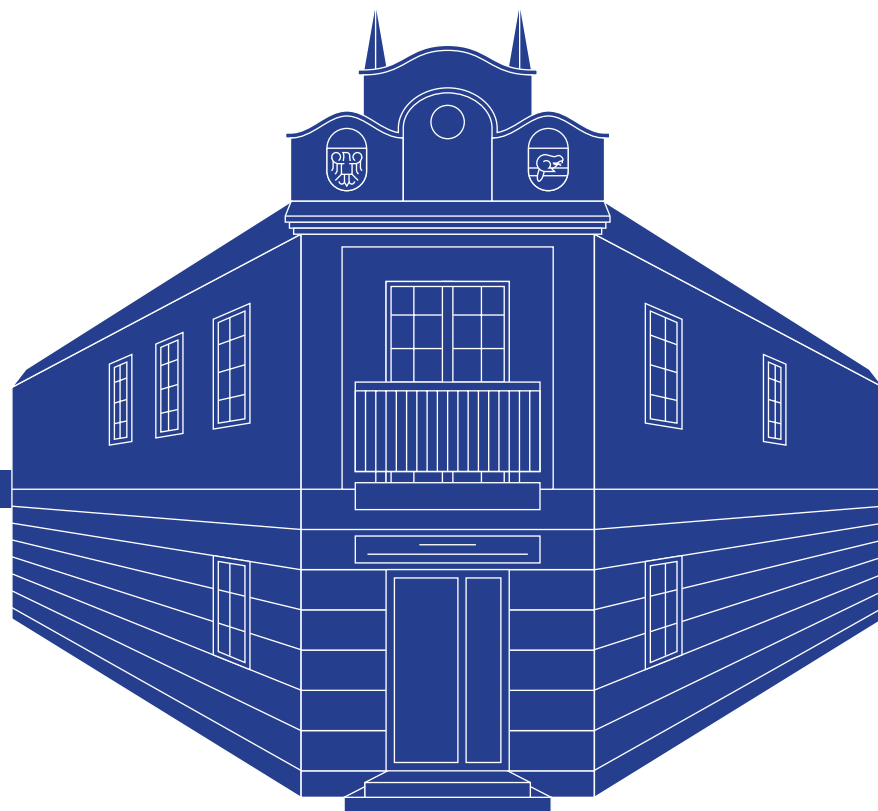
Przed realizacją śmiałych planów zabezpiecza Górki wpisanie ich do rejestru zabytków kultury w 1982 roku. Autorem nowego projektu rekonstrukcji domu Nałkowskich został inż. Zbigniew Wilma. W roku 1992, już po kolejnej zmianie we

władzach miasta Wołomina, zdecydowano się otworzyć Muzeum mimo braku ogrodzenia i braku funduszy na wyposażenie wnętrza i realizację ekspozycji. Prace nad scenariuszem wystawy, doborem eksponatów i aranżacją plastyczną wnętrza zajęły już tylko symboliczne trzy miesiące, nie licząc oczywiście piętnaście lat nadzoru merytorycznego. Oficjalnie muzeum zaczyna funkcjonować trzy lata później.

Wyposażenie wnętrza nie zachowało się, jednak twórcy muzeum postarali się odtworzyć „ducha epoki”. Do zwiedzania udostępniono parter budynku. Wśród eksponatów znajduje się oryginalny fortepian Zofii Nałkowskiej, rodzinne zdjęcia, księgozbiór, kilka rzeźb (popiersi) autorstwa Hanny Nałkowskiej oraz mapy i obiekty związane z ich ojcem. Wszystkie eksponaty zostały odnalezione i odkupione po latach. Udało się także, na podstawie zachowanych resztek kafli, odtworzyć stary piec kaflowy.

Tłuszcz

Kilka lat gorączkowego rozpolitykowania zostawiło na tłuszczańskich chłopach trwałe obywatelskie piętno.



Muzeum Ziemi Tłuszczańskiej

Choć Tłuszcz może pochwalić się średniowiecznym rodowodem, to miejscowość straciła anonimowość dopiero po przeprowadzeniu w pobliżu kolei warszawsko-petersburskiej w drugiej połowie XIX wieku. W mieście pojawiły się wówczas warsztaty kolejowe, rozwinął się handel, zaczęła sprowadzać się też ludność żydowska. Rozbudowie miejscowości towarzyszyły także niezwykle przemiany społeczne wśród mieszkańców pochodzenia chłopskiego, którzy stopniowo budowali swoją świadomość narodową oraz klasową. Istotnym wyrazem tego procesu było założenie w Tłuszczu w 1906 r. pierwszej na Mazowszu gazety ludowej – „Siewby”, początkowo wydawanej jako dwutygodnik, a później jako tygodnik.



Huta szkła

Koleje losów Tłuszcza są nierozdzielnie związane z losami kolei – zapewne została by wioską, gdyby nie budowa kolei warszawsko-petersburskiej, rozpoczęta w połowie XIX wieku. W 1862 wyruszył z Warszawy pierwszy pociąg trasą przez Wołomin, Tłuszcz, Małkinię. Od tego momentu osadnictwo nabrało tempa, kolej przez blisko półtora wieku była głównym pracodawcą (służba ruchu, warsztaty kolejowe), a wzrost liczby mieszkańców warunkował rozwój handlu, rzemiosła i usług.

Dzięki rozwojowi kolei i tym samym łatwej drogi transportowej, w Tłuszczu powstała huta szkła. Według większości źródeł stało się to w 1906 roku na placu folwarcznym, który z głównym traktem kolejowym połączono kolejką wąskotorową. Piasek do produkcji szkła przywożono furmankami z pobliskiej Jasienicy, kolejką dowożono węgiel i wyprawiano w świat gotowe wyroby. Huta produkowała szkła do lamp naftowych, klosze, cylindry, słoje, słoiki, muchołapki, naczynia apteczne i manierki dla wojska, obszywane wojłokiem, a także butelki dla browarów spółki Haberbusch i Schiele. Niektóre budynki dawnej huty stoją w Tłuszczu do dziś, wśród nich najstarszy – z datą 1907 na elewacji – przy ulicy Szklanej 3. Szczególnym upamiętnieniem przemysłu szklarskiego są efektowne mozaiki ze stłuczek na pawilonie handlowym przy ulicy Kościuszki.

Pismo powstało na fali zmieniającej się atmosfery po rewolucji 1905 roku, która rozbudziła wśród mieszkańców polskich ziem dążenia niepodległościowe. Także w Tłuszczu i okolicach zaczęto się domagać dopuszczenia języka polskiego do szkół, niszczone rosyjskie tablice urzędowe, stawiano przydrożne krzyże. Zmiany te dotyczyły nie tylko elit szlachecko-inteligenckich – hasło niepodległości zyskiwało popularność także na wsi.

„Siewba” powstała dzięki wysiłkowi trzech osób – inżyniera, chłopca i ziemianina. Największe znaczenie przypisuje się Janowi Pilińskiemu, ukrywającemu się przed władzami carskimi pod nazwiskiem Adamowicz. Był on absolwentem politechniki w Petersburgu, miał też – jako jedyny spośród twórców pisma – doświadczenie w pracy dziennikarskiej. To on sprawował faktyczną pieczę nad wydawaniem pisma. Drugim założycielem, a zarazem głównym redaktorem „Siewby” był Jan Kielak – chłop z Chrzęsnego, bojownik o sprawę polskie, który pracą na roli łączył z redagowaniem czasopisma. Mówiono o nim, że wyróżniał się talentem pisarskim. Trzecia ważna dla pisma postać to Tadeusz Gałęcki – adwokat i ziemianin, często występujący w rozprawach sądowych w imieniu chłopów. Wspierał „Siewbę” finansowo, równocześnie pełniąc w niej funkcję skarbnika. Na pismo stale wpływ miał również ksiądz Kajetan Izidor Wysłouch, publikujący pod pseudonimem Antoni Szech. Pisał teksty o charakterze religijnym, ale dotyczące przede wszystkim spraw społecznych. To właśnie on był autorem poematu *Ty idź i siej*, który ukazał się na stronie tytułowej pierwszego numeru „Siewby”. Ksiądz Wysłouch nawoływał w nim chłopów do pracy nad sobą i nad polską wsią. Apelował, by „siać ziarna prawdy” – bez względu na przeszkody postępować według Bożych zasad, bo to może zaowocować lepszą przyszłością dla ludu i Polski.

Ty idź – i siej –

Ziarna prawdy siej, – ziarna zasad świętych i czystych –
Na roli zbożnej – serc –

Niech żyje lud –
Niech żyje siewba ta – co na dobro ludu –
Niech żyje Polska przyszła –
Co z ludu wstanie –
W imię w Boże –

Liczba osób publikujących w lokalnym piśmie szybko się powiększyła. Założyciele „Siewby” chcieli, by mówiła ona o aktualnych problemach nurtujących ludność wiejską, dlatego zachęcali

czytelników do dzielenia się swoimi przemyśleniami na łamach pisma. Odzew był bardzo duży. Publikowano nie tylko listy nadysyłane z okolicznych wsi, ale korespondowano także z chłopami, którzy wyemigrowali za granicę, nawet do tak odległych miejsc jak Brazylia. „Siewba” stała się ewenementem – w biednej wsi, gdzie większość ludności była niepiśmienna, powstała gazeta tworzona przez chłopów i dla chłopów, poruszająca nie tylko tematy rolnicze, ale także społeczno-polityczne.

Jednym z najważniejszych postulatów redakcji pisma było upowszechnienie oświaty. Na łamach „Siewby” nie tylko apelowano o zakładanie nowych szkół i dyskutowano nad prowadzonym już nauczaniem, ale także zachęcano chłopskich czytelników do samokształcenia, m.in. poprzez czytelnictwo. Przedstawiano postaci pisarzy i recenzowano przedstawienia teatralne wystawiane przez grupy amatorskie. Do stałych tematów należała też promocja wiedzy na temat higieny, ważną rolę odgrywały też praktyczne sprawy wsi – dzielono się pomysłami na zwiększenie plonów, np. za pomocą nawozów sztucznych.

Czasopismo miało też wyrazisty program polityczny, skupiający się zwłaszcza na kwestii agrarnej. Niewielkie, często ledwie kilkumorgowe gospodarstwa wiejskie Tłuszcza i okolic, nie pozwalały wyżywić wielodzietnych rodzin. Redaktorzy zachęcali chłopów do aktywnej walki o poprawę warunków życia i zmianę panujących stosunków społeczno-ekonomicznych. Tadeusz Gałęcki pisał wprost, że jeżeli obszarnicy nie przeprowadzą reformy agrarnej, to zrobią to sami głodni ziemi chłopci. Radykalne hasła z którymi kojarzyć się zaczęło pismo szybko spotkały się z ostrą krytyką ze strony największych posiadaczy ziemi rolnej, czyli przede wszystkim ziemian i kleru. Zarzucali oni autorom, że podsycają bratobójczą walkę i zachęcają do anarchii. Zdarzały się przypadki wykluczenia z kościoła niektórych chłopów współpracujących z „Siewbą”.

W odpowiedzi na zarzuty, pismo przechodziło na coraz bardziej radykalne pozycje i jeszcze mocniej atakowało lokalną elitę. Gazeta budziła coraz skrajniejsze reakcje, co przekładało się na wzrost popularności. O „Siewbie” wspomniano nawet w podręcznikach uniwersyteckich.

Szum wokół „Siewby” i jej udział w radykalizacji nastrojów na wsi nie podobał się władzom carskim, które ostatecznie w maju 1908 roku zdecydowały się na zamknięcie pisma. Gwoździem do trumny „Siewby” stał się artykuł „O tych co liberię sług Chrystusowych noszą”, napisany przez Andrzeja Skibę. Autor odwołując się do motywów biblijnych dosadnie skrytykował pławiące się w zbytkach kler i burżuazję, m.in. porównał

uciskanie chłopów przez szlachtę i duchowieństwo do powtórnego ukrzyżowania Chrystusa. Rosyjski generał-gubernator Skałon uzasadniał decyzję zakazującą dalszego wydawania pisma socjalistycznym zabarwieniem „Siewby”. Argumentował też, że tworzą ją chłopci, którzy swoim działaniem mogą spowodować zamęt rewolucyjny w społeczeństwie. Redakcja próbowała kontynuować działalność pod innym tytułem, ale władze carskie zażądały tak wysokiej kaucji, że okazało się to niemożliwe.

Choć gazeta formalnie przestała istnieć, to kilka lat gorączkowego rozpolitykowania i snucia śmiałych społecznych wizji zostawiło na społeczności tłuszczańskiej specyficzne obywatelskie piętno. „Postulaty „Siewby” przez wiele lat wracały w innych formach samoorganizacji społecznej, podejmowanych przez mieszkańców Tłuszcza, szczególnie zaś w bardzo silnym ruchu spółdzielczym.



Dawna zabudowa Tłuszcza

Z dawnej zabudowy Tłuszcza niewiele zostało. Kilka domów drewnianych i murowanych przy ulicy Kościelnej, Polnej, Mickiewicza, Powstańców (najładniejszy chyba ten przy Mickiewicza 1 – rozłożysty, drewniany, z przeszkloną werandą na słupach nad gankiem), spichlerz (jedyna pozostałość po folwarku Tłuszcza), kaflarnia, na Kolmanówce (ulice Poniatowskiego i Słowackiego) przedwojenne wille udziałowców huty szkła. Nietypowym zabytkiem jest dom, w którym ma siedzibę Społeczne Muzeum Ziemi Tłuszczańskiej. Kamienica przy ulicy Kościuszki 7 jest dokładnym odwzorowaniem dawnego domu Wacława Wdziękońskiego, należącego do elity tłuszczańskich przedsiębiorców początku XX wieku. Dom Wdziękońskiego, dawniej stojący u zbiegu dzisiejszych ulic Powstańców i Kościuszki, był pierwszym piętrowym, murowanym budynkiem w mieście. Znajdował się tam sklep monopolowy, restauracja, rzeźnik i skład żelazny, a ponadto w latach 1906-1908 miała w nim siedzibę redakcja „Siewby”. Budynek został zburzony podczas bombardowania Tłuszcza we wrześniu 1939 roku. Aby upamiętnić najstarszy i ważny w historii miasta dom, zbudowano jego replikę w innym miejscu (róg Kościuszki i Grzelaka) i przeznaczono na cele kulturalne i edukacyjne.



Pałac w Chrzesnem

Parę kilometrów od Tłuszcza, we wsi Chrzesne stoi w resztkach krajobrazowego parku wczesnobarokowy pałac, jeden z ładniejszych na Mazowszu. Zbudowany w 1635 roku szczęśliwie nie uległ zniszczeniu ani większym przebudowom. Co ciekawe wybudowany został w celu goszczenia szlachty przybywającej na zgromadzenia sejmu i miał pełnić bardziej rolę pensjonatu niż stałego domostwa. Przez lata zatem przewijali się tu co też bardziej zasłużeni obywatele Rzeczypospolitej. U ostatniej właścicielki majątku, Wincentyny Karskiej z domu Koskowskiej, w latach 90. XIX wieku był gościem polski impresjonista Władysław Podkowiński – malował okolicę (*Sad w Chrzesnem, Łubin w słońcu, Mokra Wieś*), domowników i gości (znany obraz *Dzieci w ogrodzie* przedstawia synów Miłosza i Ewy Kotarbińskich: Tadeusza, przyszłego filozofa i Mieczysława, artystę).

Pozostałyby z tego pobytu w Chrzesnem piękne wspomnienia i radosne obrazy, gdyby Podkowiński nie zakochał się w siostrze pani domu, pianistce Ewie Kotarbińskiej. Ona, mężatka i matka, odtrąciła jego miłość, pogrążając go w rozpacz. Jej rysów dopatrywano się potem w szalonej rudowłosej dosiadającej karego, piekielnego wierzchowca na słynnym płótnie *Szał uniesień*. Wystawiony w warszawskiej Zachęcie w 1894 roku obraz, pierwsze znaczące dzieło symbolizmu w polskiej sztuce, wywołał skandal towarzyski i artystyczny. Podkowiński zniszczył go tuż przed zamknięciem wystawy, ze szczególną pasją zadając ciosy nożem wizerunkowi kobiety. Wkrótce, zaledwie dwudziestodwuletni malarz zmarł na gruźlicę, legenda obstała przy samobójstwie: *cherchez la femme*. Czy to naprawdę Ewa Kotarbińska była wzorem dla kobiety w *Szale*? A może inna z siostr? A może to też legenda – bo wszystkie Koskowskie – jak o tym świadczą portrety, również przez Podkowińskiego malowane – były brunetkami.

Pałac w Chrzesnem stanowi również obecnie schronienie dla dzieł Cypriana Kamila Norwida zgromadzonych przez fundację Norwida. Prezentowane tu zbiory są wyjątkowe z uwagi na różnorodność gatunku. Odzwierciedlają one mnogość zainteresowań Norwida – poety, ale także malarza, rzeźbiarza i filozofa.

Już w roku 1906 w podtłuszczańskim Jadwininie grupa działaczy związanych z „Siewbą” założyła Towarzystwo Kółek Rolniczych im. Stanisława Staszica. Kilkanaście lat później, w roku 1918 powstała najbardziej ikoniczna dla Tłuszcza Spółdzielnia Rolniczo-Handlowa Rolnik. Jej założycielem był Feliks Tarczyński, nauczyciel szkoły w Postoliskach.

Spółdzielnia początkowo sprzedawała artykuły spożywcze i przemysłowe, później także narzędzia i materiały budowlane. Choć w dwudziestoleciu międzywojennym nie uniknęła kryzysów, sukcesywnie poszerzała obszary swojej działalności. W kolejnych latach uruchomiono betoniarnię, rozpoczęto handel lnem, a nawet otwarto piekarnię, która jednak utrzymała się tylko kilka lat. Spółdzielnia rozrastała się także na pobliskie miejscowości. Utworzono jej filie m.in. w Wołominie, Radzyminie czy Jadowie. Po wojnie spółdzielnia straciła na znaczeniu. W 1948 roku zamieniła się w Gminną Spółdzielnię Samopomoc Chłopska, która była zaledwie cieniem dawnego Rolnika.

Równoległe z „Rolnikiem” rozwijała się w Tłuszczu Spółdzielnia Oszczędnościowo-Pożyczkowa, przekształcona niedługo później w Kasę Stefczyka. Powołana do życia w 1924 roku, po wojnie zmieniła nazwę na Gminną Kasę Spółdzielczą, a w roku 1965 przeprowadziła się do własnej siedziby przy ulicy Kościuszki. Budynek do dziś spełnia swoją pierwotną funkcję, obecnie znajduje się tam Filia Spółdzielczego Banku Rzemiosła i Rolnictwa w Wołominie.

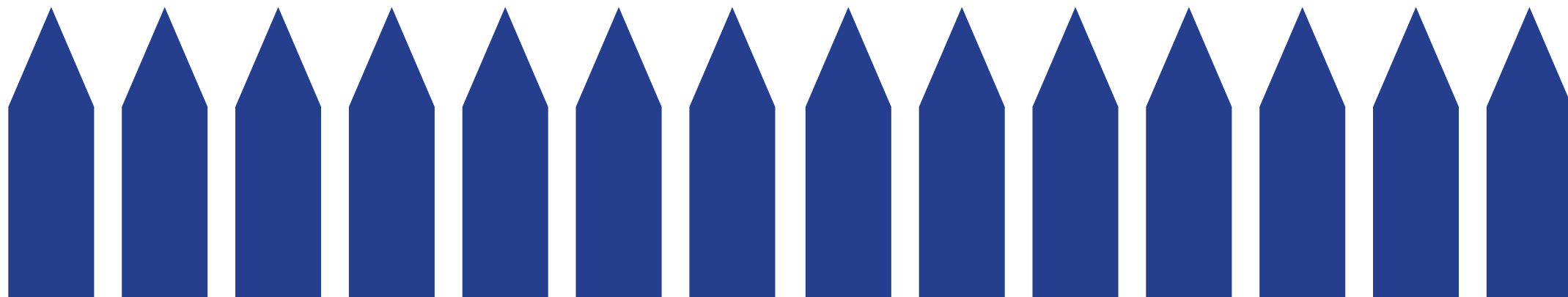
Choć organizacje związane z dawnymi tłuszczańskimi spółdzielniami istnieją do dziś, straciły dużo z rewolucyjnego entuzjazmu i energii pierwszych lat XX wieku. Ferment aktywności społecznej w Tłuszczu pozostaje fenomenem nawet po stu latach.

Urle

Pod koniec XIX wieku w środku mazowieckiego lasu wyrósł kurort z prawdziwego zdarzenia.



Dom letniskowy



Stacja w Urlach może nas zaskoczyć: pociąg odjeżdża, zostajemy na peronie, na lewo las, na prawo las. Wydaje się, że znaleźliśmy się w środku puszczy. Trzeba wiedzieć, w którą leśną ścieżkę się zapuścić, by dotrzeć do miejscowości dziś trochę zapomnianej, a przed kilkudziesięciu laty znanej tysiącom warszawiaków. Sosnowy las, rzeka Liwiec i krystaliczne powietrze – to słowa-klucze do Urli.

Na początku była puszcza, a w niej uroczysko. Puszcze nazwano Kamieniecką (od Kamieńca, dzisiejszego Kamieńczyka), a uroczysko Orlami, Orlymi Kątami, wreszcie Urlami. Nazwa nie ma nic wspólnego z drapieżnym ptakiem, być może pochodzi z języka osiadłych nieopodał w średniowieczu Jaćwingów, a oznacza prawdopodobnie miejsce nisko położone, bagienne. Na uroczysku powstała niewielka osada, która zapewne pozostałaby nieznanym nikomu siedliskiem, gdyby jej dzieje nie spłotyły się z dziejami odległego miasta i z rozwojem kolei w zaborze rosyjskim. Jednak kiedy w 1821 roku ordynat Stanisław Kostka Zamoyski odstąpił rządowi Królestwa Polskiego miasto i twierdzę Zamość, w zamian otrzymując dobra na Mazowszu i Podlasiu, między innymi w okolicy Jadowa i Łochowa, nic nie zapowiadało jeszcze rozwoju Urli. Osada położona w głębokim lesie była słabo skomunikowana z okolicznymi miejscowościami, a grunty wokół słabe, piaszczyste, pozbawione surowców dla przemysłu albo choćby drobnej wytwórczości.

Impulsem do rozwoju stała się budowa kolei warszawsko-petersburskiej. W 1862 roku gminę Jadów przecięły tory kolejowe, a urokliwe tereny nad Liwcem stały się dostępne dla warszawiaków szukających wytchnienia na łonie natury. Ich atrakcyjność była tym większa, że w czasie przed odzyskaniem niepodległości miejscowości takie jak Zakopane czy Sopot znajdowały się właściwie za granicą. Trzeba było mieć paszport, aby tam wyjechać. Trzy zabory były od siebie ściśle oddzielone. Szczególnie w Królestwie Polskim władze na wszelkie sposoby utrudniały kontakt z pozostałymi zaborami.

Właściciele majątku postanowili wykorzystać walory przyrodnicze i klimatyczne Urli i ściągać tu letników z Warszawy oferując im ciszę, powietrze rześkie i zdrowe, sosnowo-brzozowy las, malowniczą a płytką rzekę o piaszczystych brzegach i zdrowe wyżywienie z lokalnych produktów. Opinie wielu lekarzy zaświadczały, że tutejszy mikroklimat zbawiennie oddziaływa na górne drogi oddechowe, wspomaga leczenie anemii i wzmacnia dzieci zagrożone gruźlicą. U schyłku XIX wieku wyjazdy na popularną dziś działkę lub letnisko nazywano wiligiaturami od włoskiego słowa *la villeggiatura* oznaczającego resort lub kurort.

Pierwsze pensjonaty i domy dla letników powstały już w latach 70. XIX wieku z inicjatywy Zamoyskich, budowane przez

tutejszych cieśli z wykorzystaniem lokalnego budulca, przede wszystkim sosny i brzozy. W opowieściach dawnych wczasowiczów często powraca wspomnienie owego sosnowego aromatu, który unosił się nie tylko w lesie i ogrodach, ale i we wnętrzach. Domy tutejsze budowano wyłącznie z drewna lub szalowano drewnem, dwuspadowe dachy kryto najpierw strzechą, potem



Bobry

– To są tutaj bobry? Zawsze zastanawiało mnie skąd one wiedzą kiedy zakończyć pracę! – komentuje jedna z uczestniczek wycieczki Doliną Liwca. Nad rzekę skręcamy w Urlach nieopodał biblioteki. Mimo wysokiego brzegu w tym miejscu znajduje się rozległa plaża. Na pierogi do sąsiedniej miejscowości Borzymy postanawiamy spacerować się krętą ścieżką nad rzeką. Właściwie aż do mostu kolejowego idziemy przez las, co kilka metrów natykając się na poukrywane w zaroślach domki letniskowe lub ich pozostałości. Jest środek dnia, nie ma więc szans na bliskie spotkanie z bobrem, ale ponadgryzane drzewa i tamy piętrzące wodę na Liwcu wskazują, że bardzo polubiły one tę rzekę. Duża ilość wierzb i topoli na brzegach, a konkretnie ich kora, to dla bobrów idealne pożywienie. Natomiast stosunkowo niski stan wód, szczególnie w okolicach lipca i sierpnia powoduje, że mają wiele pracy. Wejście do ich siedliska, tzw. żeremi, musi znajdować się pod wodą, aby nie dostał się do nich żaden lądowy drapieżnik. Dodatkowo taka konstrukcja zapewnia bobrom świetną ochronę przed letnim skwarem. Gdy woda opada szybko ścinają kolejne drzewa, aby ją odpowiednio spiętrzyć. Od bobrów możemy uczyć się skuteczności – ścięcie drzewa o pniu średnicy średniej pizzy zajmuje jednemu osobnikowi 15 minut. Duża część Doliny Liwca w Urlach i Borzymach podlega ochronie w ramach programu Natura 2000 i stanowi tzw. „ostoję nadliwiecką”. Poza bobrami i rakami znajdziemy tutaj niemal 30 gatunków ryb takich jak płocie, szczupaki, ukleje, kiełby, okonie i wiele innych. Tereny są też bardzo ciekawe dla miłośników ptaków. Zalewane wiosną pastwiska stanowią idealną ostoję dla gatunków przelotnych. Przybywają tu między innymi bataliony, łabędzie czarnodziobe i krzykliwe, gęsi zbożowe i biało-czelne.

gontem, okna koniecznie zaopatrywano w okiennice, a szczyty domów zdobiono snycerskim ornamentem. Przed wejściem znajdował się kryty ganek, a od strony ogrodu duża weranda, oszklona lub otwarta, z ozdobną, ażurową balustradą. Sezon trwał od czerwca do końca września.

Na letnisko – często na wiele tygodni – przyjeżdżali panie domu z dziećmi i służbą, zaś ojcowie rodzin – urzędnicy, oficerowie, kupcy, przedstawiciele wolnych zawodów – zwykle odwiedzali je w weekendy, w niedzielne popołudnie wracając do Warszawy. Wyjazd na letnisko odbywał się w kilku etapach: najpierw z Urli wysyłano do Warszawy furmanki, które przywoziły niezbędne wyposażenie – pani z zamożnego domu nie wyjeżdżała bowiem bez ulubionych mebelków, zastawy, bielizny stołowej i pościelowej, lampy naftowych, samowara. Ze sprzętami przyjeżdżała służba, która czyniła stosowne przygotowania przed przyjazdem państwa. Wreszcie pani domu z dziećmi przybywała koleją, odbierana ze stacji przez gospodarzy. Początkowo pociąg z warszawskiego Dworca Petersburskiego (dziś Wileńskiego) dowoził gości do Tłuszcza lub Łochowa, ale już pod koniec XIX wieku powstała stacja w Urle, początkowo pod nazwą Platforma Zamoyskiego.

Rozwój letniska przyspieszył na początku XX wieku, gdy dobra objęła Maria z Zamoyskich Kurnatowska: po uzyskaniu zgody na wyręb kawałka lasu Kurnatowscy zaoferowali na sprzedaż nowe działki pod budowę domów letniskowych. By zapewnić gościom komfort, wytyczone parcele miały mieć powierzchnię kilku tysięcy metrów kwadratowych, nie wolno było wycinać więcej niż 50% drzewostanu ani „zakładać fabryk ani innych przedsiębiorstw, które by zatrzymały powietrze lub zakłócały spokój”. Wokół domków wyrosła bogata infrastruktura typowa

Dziś jedynym śladem żydowskiego życia w Jadowie jest zniszczony cmentarz. Jest on położony dwa kilometry przed miejscowością, nieznacznie na uboczu drogi 636. Obecnie na cmentarzu znajduje się zaledwie kilka zachowanych grobów, większość macew została zrabowana lub potraskana. Spacerując wokół terenu cmentarza można spostrzec ich resztki, na których widoczne są jeszcze napisy. W środku cmentarza znajduje się miejsce po dawnych zbiorowym grobie sześciuset Żydów zamordowanych w czasie likwidacji miejscowego getta. Kilka lat temu, po raz pierwszy od czasu wojny na terenie nekropolii pojawił się nowy – choć symboliczny – nagrobek. Upamiętnia on mieszkankę Jadowa, która uniknęła Zagłady i po wojnie wyjechała do Chicago. Napis na kamieniu głosi: „Pamięci SARY LITWAK z d. Chrynowickiej, ur. 12. 03. 1915 r., zm. 06.06.2011 r. Całe życie tęskniła za Polską i Jadowem”.

Wytrwałym polecieć można zagłębienie się jeszcze bardziej w las. W pobliżu polnej drogi na Wylądały i Dzierżaków w gęstych zaroślach, pełnych kłujących akacji i dzikich róż odnaleźć można niezwykłą pamiątkę z przeszłości – cmentarz szkocki z XIX stulecia. Na jedynej z zachowanych tablic możemy przeczytać napis w dwóch językach: „Sacred to the memory of Catherine J. Hay. Born at Żyrardów the 24 of may 1833, died at Strachówka the 22 of december 1877. Tu spoczywa śp. Katarzyna z Carwiów Hay”. Na przestrzeni kilkunastu metrów widać pozostałości po reszcie grobów i grotę, w której wedle relacji miejscowych znajdowały się niegdyś miedziane podobizny trumienne pochowanych Szkotów. Cmentarz jest w opłakanym stanie, ale ciągle jeszcze przypomina o ciekawym epizodzie w historii tych terenów. Kilka rodzin szkockich zostało sprowadzonych na folwarki w Zawiszynie, Sulejowie i Nowinkach przez właściciela tych dóbr, hrabiego Andrzeja Zamoyskiego. Postanowił on zwolnić chłopów z pańszczyzny i jednocześnie ich oczynszować. Ten pomysł nie do końca się sprawdził i dlatego w 1843 r. zarządził eksmisję niewypłacalnych i opornych chłopów. Rozwiązaniem sytuacji stało się sprowadzenie do Jadowa znanych z gospodarności osadników szkockich. Ich rolą było również wprowadzenie innowacji, które mogliby wdrożyć miejscowi chłopci. Jak donoszą inne źródła niejaki Tomasz Dikson z Zawiszyna wraz ze swoim zarządcą Hawrylukiem, rozwinął pomyślnie hodowlę bydła i produkcję przetworów mlecznych. Odtworzenie realiów ich adaptacji na polskim Mazowszu mogłoby być niezwykłą przygodą. Tymczasem cmentarz niszczeje.



Jadowscy Żydzi, podjadowscy Szkoci

Niegdyś miasteczko handlowe na skrzyżowaniu dróg handlowych w kierunku Warszawy oraz Wołynia, Jadów został doszczętnie spustoszony w czasie potopu szwedzkiego. Rozwój osady został zahamowany na niemal dwieście lat. Dopiero w 1830 roku za sprawą właściciela okolicznych ziem, Stanisława Kostki Zamoyskiego, do miasteczka zaczęli napływać Żydzi. Jadów ponownie rozkwitł, a jego żydowska społeczność stanowiła wkrótce ponad siedemdziesiąt pięć procent wszystkich mieszkańców. →

dla modnych letnisk: restauracje, kasyno, kort tenisowy, boisko sportowe, place do gry w krykieta lub serso, sale gry w bilard, wypożyczalnie łódek i kajaków, wynajem wozów konnych na przejażdżki i leśne pikniki z muzyką. W okresie międzywojennym postawiono Dom Ludowy z salą widowiskową i biblioteką, a także poświęcono drewnianą kaplicę. To w tym domu swoją siedzibę miało założone w 1927 roku Stowarzyszenie Miłośników Urli. W 1929 roku Urle stały się samodzielną jednostką administracyjną z własnym Zarządem Gminy.

Pensjonaty reklamowały się na łamach warszawskich gazet i czasopism. Anonse kwater dla Żydów, licznie odwiedzających Urle, zapewniały o dostępności produktów koszernych. Wśród wielu znanych osób, które bywały w Urłach w czasach ich świetności, można wymienić żonę Bolesława Prusa, Oktawię Głowacką, aktorską rodzinę Trapszów z córką Mieczysławą Cwiiklińską, rodzinę Jabłkowskich – warszawskich kupców, badaczy rodzimego obyczaju i folkloru Zygmunta Glogera i Tymoteusza Łuniewskiego, przyszłego dyrektora Muzeum Narodowego w Warszawie, Stanisława Lorentza. Jako dziecko przyjeżdżał tu z matką Martin Gray, autor słynnej książki *Wszystkim, których kochałem*. Na bale, koncerty, wycieczki, polowania, w odwiedziny do letników przyjeżdżały rodziny właścicieli okolicznych majątków ziemskich, np. z sąsiedniego Jadowa – Tadeusz i Miłosz Kotarbińscy. Letnisko w okresie międzywojennym kwitło. O Urłach pisało się w prasie i przewodnikach: „obfitość balsamicznego powietrza i ocean bezbrzeżnie błęgiego spokoju. Oto warunki dla tych, którzy chcą zasilić płuca i nerwy.”

W okresie powojennym w sosnowych domkach spędzali lato m.in. Leopold Staff, słynny chirurg-transplantolog Jan Nielubowicz, solista zespołu Mazowsze, Stanisław Jopek z córeczką Anną Marią, Andrzej Żuławski i Małgorzata Braunek. Jednak w okresie PRL-u Urle nieuchronnie przekształcały się z letniska dawnego typu w miejsce wypoczynku zorganizowanego, refundowanego przez Fundusz Wczasów Pracowniczych: na wielkich leśnych działkach powstało kilka dużych ośrodków wczasowych, przede wszystkim znany obiekt Telewizji Polskiej, domy dla swych pracowników zbudowały także Telekomunikacja i Polskie Koleje Państwowe. Co roku kilka tysięcy dzieci spędzało tu wakacje na koloniach. Po roku 1989, gdy Polacy odzyskali swobodę podróżowania, powoli zaczął zanikać zwyczaj spędzania wakacji na nieodległych od miasta letniskach.

Do dzisiejszego dnia w Urłach zachował się jeden ośrodek wypoczynkowy oraz kilkadziesiąt kwater prywatnych. Bardzo popularne stały się samodzielne domki letniskowe na własny,

rodzinny użytek. Działa kilka barów z piwem i przekąskami oraz jedna jadalnia Pod Lipą serwująca domowe obiady i pyszne pierogi własnej roboty. Urle pozostają jednak miejscem weekendowej rekreacji, doskonałym na spacer i wypoczynek na plaży, krótki spływ kajakiem lub wycieczkę rowerową po lesie. To miejsce dla każdego, kto poszukuje ciszy i kontaktu z przyrodą. Dzięki inwestycjom samorządowym przygotowano sieć szlaków rowerowych z naturą i kulturą. Szkoda, że tak niewiele pozostało z dawnej, sosnowej zabudowy (pojedyncze domy przy ulicy Kościuszki i 1 Maja), dokumentuje ją wystawa w siedzibie działającego od blisko stu lat Stowarzyszenia Przyjaciół Kultury w Urłach znajdującego się przy bibliotece. Na tyłach budynku można też zobaczyć rekonstruowaną typową urlańską werandę. Stowarzyszenie gromadzi pamiątki dawnej świetności i dokumentuje dzieje letniska, organizuje też plenery i kiermasze artystyczne. Dodatkowo atrakcje w czasie wakacyjnym organizowane w leśnym amfiteatrze koncerty muzyki kameralnej i jazzowej, festiwal Jazz w lesie, przedstawienia teatralne.

Sulejówek

Imię Marszałka noszą dwie szkoły podstawowe, jedno gimnazjum, towarzystwo strzeleckie, a nawet spółdzielnia rzemieślnicza.



Dworek Siedziba

Churchill miał zamek Chartwell w Westerhamie, de Gaulle dom la Boissierie w Colombey-les-Deux-Églises, a Piłsudski dwór Milusin w Sulejówku. Zarówno w Wielkiej Brytanii, Francji, jak i w Polsce pamięć o górujących nad XX wiekiem mężach stanu jest nieodłącznie powiązana z ich skromnymi siedzibami, oddalonymi nieco od centrum władzy.

Po śmierci Churchilla i de Gaulle'a, wdzięczni Brytyjczycy i Francuzi zaczęli otaczać domy swoich przywódców kultem i jeździć do nich na swego rodzaju pielgrzymki. Pomimo sporej odległości – dwie i pół godziny jazdy samochodem z Paryża – tak zwany *mémorial* de Gaulle'a odwiedza co roku ponad 100 tysięcy gości.

Inne niż w przypadku Churchilla i de Gaulle'a okoliczności odejścia Marszałka – do śmierci był czynnym politykiem – oraz wojna i trwające pół wieku podporządkowanie kraju ZSRR nie pozwoliły Polakom podtrzymać bardzo mocnego przed 1939 rokiem kultu Józefa Piłsudskiego. W PRL Piłsudski i II RP znalazły się na cenzurowanym. Jakby tego było mało, przez dziesięć powojennych lat, aż do odwilży w 1956 roku Milusin był zajmowany przez ambasadę ZSRR.

Rosjan Sulejówek przyciągał zresztą już wcześniej. Jeszcze w czasach rozbiorowych stacjonowali tam oficerowie carscy, skąd dojeżdżali do pobliskiego poligonu artyleryjskiego w Rembertowie. Ostatni z nich wyjechali z Sulejówka dopiero w latach 30., długo po upadku caratu i tryumfu bolszewików. W okresie stalinowskim w mieście działało Towarzystwo Przyjaźni Polsko-Radzieckiej, które umieszczono w Ognisku Helin, dawnej własności Paderewskich, jeszcze przed wojną przekazanej Towarzystwu Pomocy Inteligencji, które prowadziło tam dom starości dla kobiet.

Dla małego Sulejówka, wymuszone przez komunistyczną władzę milczenie o Marszałku oznaczało utratę na znaczeniu w porównaniu z czasami przedwojennymi. Józef Piłsudski nie był zresztą jedynym zasłużonym w okresie II RP mieszkańcem Sulejówka. Okoliczne posesje posiadali aż trzej premierzy Polski – Jędrzej Moraczewski, Ignacy Paderewski i Artur Śliwiński – oraz marszałek Sejmu Maciej Rataj, zastępujący prezydenta po tym, jak zamordowano Gabriela Narutowicza.

Obecność Marszałka w mieście, choć ostatecznie krótka – w Milusinie mieszkał na stałe od 1923 do maja 1926 roku – przyciągała do Sulejówka mnóstwo gości, szczególnie legionistów. Dla Aleksandry, drugiej żony Józefa i gospożki dworu, ciągłe wizyty niepodległościowych weteranów bywały męczące, o czym można dowiedzieć się z jej wydanych w Londynie wspomnień.

Po wojnie Aleksandra Piłsudska nie wróciła do Sulejówka. Zdecydował się tam natomiast zamieszkać Stanisław Grabski,



Kopiec Współtwórców Niepodległej

W końcu lat 80. na skwerze przy skrzyżowaniu ulic Nowotki i Jedności Robotniczej (obecnie Skwer Niepodległości na rogu Piłsudskiego i Paderewskiego) wzniesiony został niewielki monument: na szczycie kilkumetrowego kopca ustawiono kamień z inskrypcją poświęconą związanym z Sulejówkiem „Współtwórcom Niepodległej”. Poza Józefem Piłsudskim wymienieni są Jędrzej Moraczewski, Ignacy Paderewski, Stanisław Grabski oraz Maciej Rataj.

Uroczyste usypanie kopca to jeden ze sprawdzonych sposobów upamiętnienia ważnych postaci czy wydarzeń. Sprawdza się szczególnie, gdy władza do upamiętnienia nastawiona jest sceptycznie i blokuje budowę obiektów takich jak pomniki czy obeliski. Atutem jest wymiar symboliczny grupowego wznoszenia kopca – korowody mieszczan, ciągnące na otaczające Kraków wzgórza, by dorzucić swoją garść ziemi do kopca Kościuszki, musiały robić wrażenie na władzy i wzmacniać poczucie wspólnoty.

Na tle licznych krakowskich kopców upamiętnienie z Sulejówka jest raczej kameralne. Jego inicjatorem i głównym wykonawcą był Krzysztof Smosarski, który w realiach Sulejówka schyłku lat 80. nie mógł liczyć na masowe zaangażowanie społeczne. Dlatego wywalczenie niezbyt entuzjastycznej zgody na budowę w miejscowej Radzie Narodowej było dopiero początkiem wyzwań – Smosarski sam zbierał i przewoził taczkami gruz i inne odpadki (wśród nich stelaż łózka, który pełnił funkcję zbrojenia). Kopiec wzrastał, a mozolna budowa zakończyła się w 1988 roku. Choć trwał jeszcze wtedy PRL, Kopiec uznać można za pierwszy z nowej fali upamiętnień II RP, które pojawiać zaczęły się w Sulejówku po 1989 roku.

W 2009 roku za sprawą decyzji o budowie kolejnego monumentu kopiec został przesunięty o kilkanaście metrów w głąb skweru. Jego miejsce zajęła rzeźba w budzącej kontrowersje formie ławeczki, na której zadumanemu Marszałkowi towarzyszą dwie córki. O ile wiadomo, przy okazji przenosin usunięto pamiętający pionierskie lata 80. stelaż łózka.

brat Władysława, jednego z premierów II RP. Grabski postanowił wrócić z uchodźstwa w Wielkiej Brytanii, aby wziąć udział w odbudowie Polski. Szybko zrozumiał, że komuniści nie podzielą się władzą z innymi siłami politycznymi. Jego śmierć w 1949 roku zamknęła na dobre rozdział II RP na kartach Sulejówka.

Otwarte kultywowanie pamięci o Marszałku oraz o II RP stało się możliwe dopiero czterdzieści lat później, na przełomie lat 80. i 90., razem z powstawaniem III RP. Już w 1988 roku z inicjatywy Towarzystwa Przyjaciół Sulejówka została utworzona „enklawa historyczna miasta”, obejmująca obszar na południe od linii kolejowej, gdzie kiedyś mieszkali bohaterowie II RP. W tym samym czasie Miejska Rada Narodowa zmieniała nazwy ulic na terenie enklawy, tworząc „spacerownik” po historii odzyskania niepodległości: ulice Pierwszej Kadrowej, Legionów i 11 listopada.

Sam Piłsudski został wybrany na patrona alei łączącej Sulejówek z Warszawą, która krzyżuje się z ulicami Jędrzeja Moraczewskiego i Ignacego Paderewskiego. Podobne zmiany miały miejsce w nazwach sulejowskich obiektów publicznych i organizacji: imię Marszałka noszą dwie szkoły podstawowe, jedno gimnazjum, towarzystwo strzeleckie, a nawet spółdzielnia rzemieślnicza. Także urząd miasta promuje miejscowość sloganem „tu mieszkał Józef Piłsudski”.

Na granicy enklawy historycznej znajduje się jeszcze Skwer Niepodległości i Kopiec Współtwórców Niepodległej, stworzony także w 1988 roku. Na głazie stojącym na szczycie kopca wyryto nie tylko nazwisko Marszałka, ale i Jędrzeja Moraczewskiego, Ignacego Paderewskiego, Stanisława Grabskiego i Macieja Rataja.

W Sulejówku wciąż jednak nie upamiętniono Marszałka w sposób, który byłby porównywalny do *mémorial* Charles'a de Gaulle'a lub zamku Chartwell Churchilla. Koncepcja stworzenia Muzeum Józefa Piłsudskiego w jego dawnej siedzibie została zatwierdzona dopiero w 2008 roku. Stało się to po długich latach starań ze strony Fundacji Rodziny Józefa Piłsudskiego o odzyskanie Milusina i jego wcześniejszego dworu, tak zwanego Drewniaka. Muzeum ma być oddane do użytku w 2018 roku, w setną rocznicę odzyskania przez Polskę niepodległości.

Czy Muzeum Józefa Piłsudskiego będzie się cieszyło podobnym powodzeniem, jak *mémorial* de Gaulle'a lub zamek Chartwell Churchilla? Nawet jeśli tak się stanie, na otwarciu Muzeum nie zakończy się proces kształtowania pamięci o wydarzeniach XX wieku, ani w Sulejówku, ani w pozostałych częściach Polski.

Ku niezadowoleniu niektórych mieszkańców i polityków, poza enklawą historyczną wciąż można natrafić na ulice noszące

imiona osób kojarzonych z komunizmem: Janka Krasickiego – jednego z pierwszych przewodniczących Związku Walki Młodych czy Marcelego Nowotki, I sekretarza Polskiej Partii Robotniczej w okupowanej przez Niemców Polsce, przerzuconego tu przez Rosjan z Moskwy. Urząd już zapowiedział, że w związku z wejściem w życie ustawy o zakazie propagowania komunizmu lub innego ustroju totalitarnego, ulice te zostaną wkrótce przemianowane.

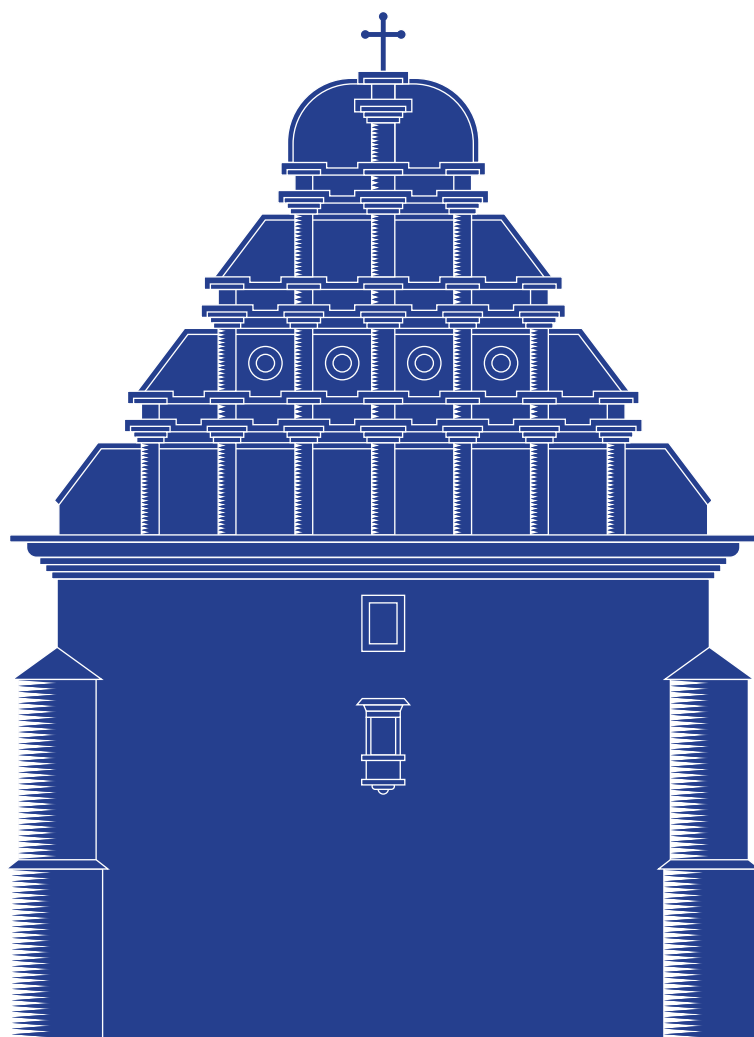
Sposób upamiętniania Marszałka też nie obywa się bez wątpliwości. Piłsudski był najsławniejszym mieszkańcem Sulejówka i z tego powodu stanowi doskonałą markę, pozwalającą promować miasto. Ale wybór projektu muzealnego, skupionego głównie na jego biografii, powieli przestarzały już schemat opowiadania historii przez pryzmat posągowych postaci, a tym samym marnuje też doskonałą okazję zniuansowanego spojrzenia na dzieje II Rzeczypospolitej.

Tymczasem jedną przecnicę od przyszłego Muzeum, na rogu ul. Piłsudskiego i 11 listopada, znajduje się willa Siedziba, w której już w 1920 roku zamieszkali Jędrzej i Zofia Moraczewscy. W przeciwieństwie do domu Śliwińskich lub Grabskich, które nie zachowały się do naszych czasów, Siedziba jest w „oryginale”, choć wymaga modernizacji. Moraczewski, który zajmował Siedzibę aż do swojej śmierci w 1944 roku, przeszedł w II RP drogę od pierwszego premiera do niezależnego działacza związkowego i spółdzielczego oraz krytyka porządku zaprowadzonego przez rządy sanacji.

Obecnie domem opiekuje się Krzysztof Smosarski. Choć nie jest spokrewniony z Moraczewskimi, a jedynie spowinowacony przez swoją pierwszą żonę, prowadzi izbę pamięci tej rodziny i działa w Towarzystwie Przyjaciół Sulejówka. Podobna izba poświęcona rodzinie Grabskich znajduje się w budynku dzisiejszego liceum. Choć skromne i niewielkich rozmiarów, miejsca te w istotny uzupełniają opowieść, która przedstawiona zostanie w planowanym muzeum Marszałka i pozwalają przybliżyć się do pełniejszego i bardziej krytycznego zrozumienia lat międzywojennych.

Cegłów

Rozłam, który jeszcze
dwadzieścia lat temu był
źródłem potężnych konfliktów,
dziś udało się opanować.
Niezwyczajnie skutecznie.



Kościół katolicki



Kościół mariawicki

Krajobraz Cegłowa zdominowany jest przez dwa kościoły. Jeden przysadzisty, z XVI wieku, w którym zachował się ołtarz autorstwa ucznia Wita Stwosza. Drugi, neogotycki liczy niewiele ponad sto lat. Stoją – jak mówi proboszcz nowszego z nich – o rzut kamieniem jeden od drugiego. Dookoła, po obydwu stronach linii kolejowej, gęsto ustawione są domy jednorodzinne, wśród których wiele jest tradycyjnych, drewnianych.

Dziś nikt nie sprawdza, na jaką odległość jest w stanie rzucić kamieniem, ale jeszcze kilkadziesiąt lat temu witraże w neogotyckiej świątyni trzeba było często naprawiać. Szczepan Pieniążek, który w okolicy Cegłowa spędził dzieciństwo, wspominał:

Między miejscową ludnością katolicką i mariawicką panowała nienawiść. Większość dzieci w szkole stanowili mariawici przez nas „mankietnikami” albo „kozłami” zwani. Nauczycielka w klasie utrzymywała między nami pokój, ale już na pauzach i po wyjściu ze szkoły wybuchały walki. Zaczynało się od wyzywania przeciwników i obrzucania ich obelgami. Jeśli mariawita chciał wyrazić wobec katolika największą pogardę, nazywał go, nie wiadomo dlaczego Szwedem. „Szwedzkie g... na tobie jedzie” krzyczał na cały głos. Z trudem wytrzymywaliśmy te obelgi i tylko, aby nie pozostać dłużnymi, wrzeszczeliśmy: ty kozle!

Najważniejszym ośrodkiem mariawityzmu jest Płock, gdzie znajduje się okazała katedra i klasztor, siedziba Kościoła Starokatolickiego Mariawitów. O wyraźnie mniejszym Cegłowie mówiło się kiedyś „mariawicka Częstochowa”.

Przez wisko „kozły”, jakim obrzucano mariawitów, wiąże się z nazwiskiem siostry Feliksy Kozłowskiej, założycielki ruchu. W 1893 roku Mateczka Kozłowska miała pierwsze ze swoich objawień, zbiorczo określanych Działem Wielkiego Miłosierdzia, które miało być sposobem na odnowę Kościoła. Rosnąca popularność wśród wiernych wynikała z tego, że kapłani mariawicy żyli ubogo, nie żądali pieniędzy za posługę i angażowali się w życie społeczności. Mariawici propagowali częste przyjmowanie komunii świętej, wprowadzili też do liturgii język polski, czym o pięćdziesiąt lat wyprzedzili reformy Soboru Watykańskiego II.

Większość hierarchów od początku patrzyło na charyzmatyczny ruch nieprzychylnym okiem. W kilkuletniej debacie nad uznaniem bądź odrzuceniem nauk Mateczki to oni odnieśli zwycięstwo – papież Pius X nie zaakceptował działalności Zgromadzenia, a w 1906 roku obłożył siostrę Kozłowską ekskomuniką. Mariawici zareagowali wypowiedzeniem posłuszeństwa

papieżowi i założyli własny kościół. W 1921 roku, gdy Mateczka umierała, założony przez nią kościół liczył ponad czterdzieści tysięcy wiernych.

Władzę w kościele po śmierci jego założycielki objął ksiądz Jan Kowalski, wyświęcony w Utrechcie na biskupa starokatolickiego. Biskup Kowalski realizował coraz śmielsze reformy, dopuszczając małżeństwa między kapłanami i siostrami zakonnymi oraz wprowadzając kapłaństwo kobiet. Kontrowersyjne zmiany i autorytarny styl rządzenia doprowadził do rozłamu w kościele. Większość kapłanów i zakonnic opowiedziała się za odsunięciem biskupa Kowalskiego od władzy. Wycofano się również z części reform, w tym z kapłaństwa kobiet.

W 1902 roku do Cegłowa przyjechał młody katolicki ksiądz Bolesław Wiechowicz. Biskup przysłał go tutaj, żeby się wyszumiał i wyleczył z ciągłego do mariawityzmu. Kuracja nie przebiegła po myśli hierarchy: młody ksiądz daleki był wyszumienia się,



Budynki wspólnot religijnych

Jednym z ciekawszych budynków Cegłowa jest zbudowane w latach 20. przez rzymskokatolickiego księdza Feliksa Katuszewskiego schronisko dla sierot. Ścianę od strony rynku zdobi płaskorzeźba pelikana, karmiącego pisklęta własną krwią, co ma symbolizować poświęcenie dla potrzebujących i chrześcijańskie miłosierdzie. Obok ochronki w budynku zorganizowano przytułek dla starców oraz warsztaty i szkołę rzemieślniczą dla dziewcząt. Od połowy lat 60. do końca 70. Szarytki prowadziły tam szpital dla upośledzonych dzieci. Obecnie budynek jest własnością parafii.

Jeszcze kilkanaście lat temu, kawałek dalej, przy ulicy Mariawickiej, gdzie dziś widać tylko tablicę pamiątkową, stał dwupiętrowy drewniany budynek – ukończony dwa lata po kościele mariawickim dom parafialny. Początkowo mieściła się tam ochronka, dwuklasowa szkoła powszechna a później progimnazjum z internatem. Po wojnie budynek zajęto na potrzeby państwowej szkoły podstawowej, która działała tam aż do momentu, gdy po drugiej stronie torów postawiono „tysiącłatkę”. W latach 80. zbudowano nowy, murowany dom parafialny. Stary rozebrano, bo popadał w ruinę, a z pieniędzy parafii nie dało się go utrzymać.

a w wigilię 1905 roku większość mieszkańców Cegłowa przeszła za nim na mariawityzm. Początkowo mariawici odprawiali nabożeństwa w kościele rzymskokatolickim. Do czasu, kiedy wezwana przez katolików grupa robotników z kolejowych zakładów naprawczych na warszawskim Bródnie, zmusiła proboszcza i jego współwyznawców do opuszczenia świątyni. Rok później, dwieście metrów na południe od rynku ukończono budowę kościoła mariawickiego.

Przepędzenie mariawitów ze starego kościoła przez wiele lat było dla katolickich mieszkańców Cegłowa ważnym, chętnie przywoływanym wspomnieniem. „Na pamiątkę tego zdarzenia – czytamy w relacji profesora Pieniążka – co roku szóstego

Kościół św. Jana Chrzciciela

Zajmujący centralne miejsce Cegłowa kościół rzymskokatolicki pod wezwaniem św. Jana Chrzciciela ufundowano w połowie XVI wieku. Choć murowany, nie ma fundamentów – stoi na wkopanych w ziemię kamieniach. W kolejnych stuleciach kościół był modernizowany, ale późnogotycki charakter budowli jest wciąż bardzo wyraźny. Zachowały się też drewniane drzwi gotyckie, wmontowane obecnie w południową ścianę kościoła.

We wnętrzu świątyni zachowało się dużo elementów historycznego wyposażenia: granitowa kropielnica z XVII wieku i o sto lat późniejsze chrzcielnica i ambona. Zaskakującym elementem wnętrza są wstawione w XIX wieku modrzewiowe kolumny. Najważniejszy jest jednak ołtarz dłuta Lazarusa, należącego do szkoły Wita Stwosza. Tryptyk powstał na początku XVI wieku i pierwotnie stanowił fragment ołtarza warszawskiej kolegiaty. Do Cegłowa trafił w pierwszej połowie kolejnego stulecia, przy okazji odnowienia i ponownej konsekracji świątyni.

Na terenie wokół kościoła znajdują się dwa ciekawe obiekty. Pierwszym jest zbudowana w XVIII wieku dzwonnica. Wyposażona jest w dwa dzwony – odlany w latach 20. dzwon Jan oraz starszy, z widocznymi niemieckimi napisami. Okrążając kościół warto też zwrócić uwagę na figurę Matki Boskiej, ustawionej na cokole w formie pękniętego kamienia. Przyjęło się sądzić, że jest to symboliczne odniesienie do rozłamu cegłowskiej parafii między katolików i mariawitów.

sierpnia, w odpust Przemienienia Pańskiego, zjeżdżały z Pragi rodziny kolejarskie, wypełniające przynajmniej dwa pociągi. Wielkie i bardzo kolorowe było to święto”.

Z biegiem czasu relacje między katolikami a mariawitami, których teraz w gminie i okolicach jest mniej więcej jedna trzecia ludności, zaczęły się poprawiać. Punkt zwrotny nastąpił w 1991 roku, gdy w związku z organizowanym w parafii rzymskokatolickiej bierzmowaniem, do Cegłowa przyjechał biskup Władysław Miziołek. Choć nie wywołało to entuzjazmu części wiernych, zaprosił do wspólnej modlitwy mariawickiego biskupa Romana Nowaka. Dwa lata później, przy okazji obchodów pięćdziesiątej rocznicy pacyfikacji Cegłowa przez Niemców i wspierające ich oddziały Własowców, zrobiono kolejny krok ku pojednaniu. W 1943 roku przy nasypie kolejowym rozstrzelano ponad trzydzieści osób podejrzanych o działania dywersyjne i ukrywanie Żydów. Oprawcy nie pytali, kto jest katolikiem, a kto mariawitą. W miejscu kaźni, sto pięćdziesiąt metrów na zachód od stacji, stoi dziś pomnik upamiętniający pomordowanych.

– Ci ludzie zostali zabici za to, że byli Polakami, niezależnie od wyznania. Nie mogłem więc sobie wyobrazić, żeby obchody były oddzielne – wspomina o. Grzegorz, który rok wcześniej przyjechał z rodziną do Cegłowa i objął parafię. – Długo rozmawialiśmy z proboszczem katolickim jak to zorganizować, aż się dogadaliśmy: odprawiamy równoległe msze w swoich kościołach, a potem spotkamy się na rynku. Później w podobny sposób zaczęliśmy obchodzić święta 3 maja i 11 listopada: równoległe msze, spotkanie, przejście pod pomnik, modlitwa ekumeniczna i przemówienie wójta. Od jakiegoś czasu prowadzimy też wspólną drogę krzyżową, która zaczyna się raz w jednym, raz w drugim kościele.

W połowie drogi między kościołami, w samym centrum miasta stoi remiza OSP. W tym roku odbywała się tam impreza w związku z osiemdziesiątą rocznicą zawiązania Koła Gospodyń Wiejskich w Cegłowie. W Kole działają obecnie dwadzieścia trzy panie, mariawitki i katoliczki razem. W uroczystości wzięły udział wójt, który wręczył paniom fartuchy z logotypem miasta i medalem „Order Serca Matkom Wsi”. Był ksiądz proboszcz, a kapłan mariawicki przysłał duży tort z odpowiednim napisem.

Podobnych kół jest w gminie sporo, i wszystkie zjechały się na uroczystość w Cegłowie. Zabawa była huczna, z tańcami, bo panie wyjątkowo zaprosiły mężów.

Na ścianie remizy wisi mapa zatytułowana „tu byliśmy”. Od 2009 roku członkinie koła jeżdżą razem na wycieczki. Za pierwszym razem pojechały w Karkonosze – i niektóre panie po raz pierwszy widziały góry; później na wybrzeże – i niektóre

panie po raz pierwszy widziały morze. W kolejnych latach członkinie KGW w Cegłowie, z których najstarsza ma osiemdziesiąt siedem lat, a najmłodsza dwudziestoletniego syna, zwiedziły między innymi Pragę i Berlin. W tym roku znów jadą nad morze, ale tym razem mają wykupione miejsca w Pendolino. A wracają samolotem.

Wysokość emerytur większości pań z Koła Gospodyń nie pozwala na swobodne podróżowanie. Dlatego wspólnie lepią sójki mazowieckie – pierogi drożdżowe z nadzieniem z kaszy jaglanej, grzybów i kapusty, które sprzedają razem z innymi wyrobami regionalnymi. Zysk dzielą proporcjonalnie do przepracowanych godzin. Mają stoiska na różnych festynach, ale najważniejszy jest ten sierpniowy, który swoją nazwę wziął od regionalnego pieroga. W tegorocznej, dziesiątej już Sójce Mazowieckiej wzięło udział prawie dziesięć tysięcy osób. Zorganizowano konkursy i koncerty. Gwiazdą wieczoru była Margaret.

Panie z cegłowskiego Koła – jak same przyznają – nie są zbyt rozśpiewane. To domena tych z Podcierni. One wolą porozmawiać o zdrowiu, wymienić się przepisami i skupić na rywalizacji kulinarnej z innymi kołami.

Ojciec Grzegorz jest wierny wezwaniu założycieli mariawityzmu i mocno angażuje się w działalność społeczną. Od lat prowadzi zimowe i letnie wyjazdy dla dzieci, także niepełnosprawnych, nie pytając nikogo o wyznanie. Razem z księżmi katolickimi organizuje akcję „Pomóż dzieciom przetrwać zimą”.

– Koncerty charytatywne robimy w naszym kościele – mówi ojciec Grzegorz – bo tu mamy lepsze organy. W okresie świąt Bożego narodzenia organizujemy w remizie wieczory kolęd, niekiedy połączone ze zbiórką na konkretnych potrzebujących. Datki zbieramy razem, ja od lewej, a proboszcz katolicki od prawej strony sali.

Proboszcz katolicki, zagadnięty o relacje między katolikami a mariawitami zapytał: – A o czym tu rozmawiać? Żyjemy ze sobą w zupełnej zgodzie. Żadnej sensacji się tu nie znajdzie. Ojciec Grzegorz na samym początku rozmowy powiedział niemal dokładnie to samo. Choć sensacja to pewnie za duże słowo, obaj się mylą.

Grodzisk

Część ludności sprzeciwiała się nowemu systemowi, inni ochoczo zabrali się za budowę nowego porządku. Na różnice polityczne nakładały się często zwykłe sąsiedzkie zatargi i lokalne animozje.



Sanatorium w Rudce

W *Inwentaryzacji Krajoznawczej województwa warszawskiego z 1975 roku* czytamy:

Grodzisk, Grodzisko – obok stacji kolejowej Grodziszczko Mazowieckie. Ślady kuźnicy wodnej, zwały żuźla żelazistego, nad rz. Witówką. Punkt Widokowy na wzgórzu morenowym na skraju lasu na pn. od wsi.

W *Przewodniku po Gminie Mrozy* dodatkowo informacja o tym, że Grodzisk to najstarsza miejscowość w gminie. Ciekawe obiekty na terenie wsi to ruiny młyna i pozostałości grodziska z XI wieku, tak zwane Wały Szwedzkie. Jest jeszcze wzmianka o tym, że w czerwcu 1948 roku oddział NSZ Zygmunta Jezierskiego pseud. „Orzeł” stoczył tutaj ostatnią walkę z oddziałami KBW. Na pamiątkę tego wydarzenia w latach 90. postawiono tu niewielki pomnik.

Wieś jakich wiele. Typowa mazowiecka ulicówka. Po obu stronach drogi szpaler murowanych domów krytych na przemian blachodachówką i eternitem. Przy przejeździe kolejowym dwa betonowe perony, wiata z ławeczką i przystanek PKS. Na łące koło szosy niewielka wypukłość terenu – to średniowieczne grodzisko, obecnie we władaniu krzaków i zarośli. W niedzielne letnie popołudnie centrum wsi to terra deserta. Ślady życia odnajdujemy dopiero pod sklepem. Jedni przyjeżdżają na pośpieszne zakupy między mszą a obiadem, inni zmagają się z upałem gasząc pragnienie za budynkiem.

Pytamy o pomnik żołnierzy z oddziału „Orła”.

– Jacy tam z nich żołnierze, to zwykła banda była. Panie, terroryzowali mieszkańców i łupili jak popadnie, a potem pomnik im wystawili. Tam za przejazdem, na skrzyżowaniu, koło Lipińskich. Bo tam była ta stodoła, w której ich złapali milicjanci.

Stoimy na skrzyżowaniu ul. Południowej i Wolności i patrzymy na betonowy krzyż. Stoi pod szarym słupem elektrycznym, na niewielkim postumencie, otoczony zielonym metalowym płotkiem. Pod nim napis: Żołnierzom oddziału Orła poległym w walkach z sowieckim okupantem. Poniżej lista siedemnastu nazwisk i pseudonimów. Wśród nich Jezierski Zygmunta „Orzeł”. Jeszcze data, 28 czerwiec 1948 rok, która akurat do niczego nie pasuje. Ani do Jezierskiego, ani do jego oddziału. Ostatnią potyczkę w stodole Lipińskiego stoczyli ponad trzy tygodnie wcześniej (3 czerwca 1948), zaś sam Jezierski został stracony ponad rok później (27 sierpnia 1949).

Zachodzimy do gospodarstwa państwa Lipińskich, gdzie rozgrywał się dramat. Gospodyni częstuje nas papierówkami:

– Ten pomnik to Lolek Malesa stawiał, on tak tu dużo przy tym robił. Znać go? On już nie żyje.

– O tych żołnierzy to najlepiej zapytać mamę. Mama to wszystko pamięta, jak ich tu w tej stodole zaatakowali i wystrzelali. Bo oni się tu schronili u mojego dziadka wtedy.

Idziemy do gospodarstwa obok, siadamy na werandzie w cieniu przed domem, w towarzystwie starszej pani, która była świadkiem tamtych wydarzeń.

– Stodoła to była tam jeszcze dalej, u moich rodziców, jak te ostatnie zabudowania. Bo stary dom to tam stał, to po ojcach, ale już też go nie ma. Ale tam nie było jak postawić tego pomnika – albo rów, albo wjazd, albo płot blisko. No i tak zdecydowali, że to jest ta sama posiadłość, i prosili, żeby pomnik tu postawić. No to stawcie, nam to nie przeszkadza.

Ze wspomnień Jana Kochańskiego „Zośki”, członka grupy „Orła” wynika, że w dniu swojej ostatniej potyczki w stodole Lipińskiego, oddział liczył dziesięć osób. Dzień wcześniej brali oni udział w akcji skierowanej przeciwko komunistom z miejscowości Kiczki; jak zapisali w swoich raportach, Kozłowskiemu wymierzili karę chłosty i zarekwirowali materiały tekstylne, Borucińskiemu zabrali pieniądze gminne przeznaczone na podatek, a na koniec ostrzegawczo rzucili kilka granatów. W ciągu poprzednich ośmiu miesięcy, czyli od momentu uformowania oddziału Jezierskiego, zdążyli przeprowadzić ponad dwadzieścia tego typu akcji. Jeszcze w listopadzie '47 roku dokonali trzech rekwizycji towarów w spółdzielniach Samopomocy Chłopskiej w Sinołęce, Waliskach i Seroczynie, oraz wykonać dwa wyroki śmierci na milicjantach z Choszczu. Jak pisze Michał Chromiński: „Żołnierze NSZ nie korzystali z obcych źródeł finansowania swojej działalności, dlatego też z konieczności ich źródłem utrzymania stały się akcje ekspropriacyjne i rekwizycyjne”. Stąd też, po powiększeniu się oddziału w marcu '48 roku o członków organizacji OPSN „Grot”, działania grupy, w tym akcje rekwizycyjne, zintensyfikowały się. Rekwizycje obejmowały głównie posterunki MO oraz spółdzielnie Samopomocy Chłopskiej. Były też przeprowadzane podczas zasadzek, organizowanych na szosach przez oddziały partyzantkie, przebrane w mundury MO. Kary chłosty wykonywano na sympatykach PPR, natomiast wyroki śmierci na informatorach UB oraz funkcjonariuszach organów bezpieczeństwa. „Zośka” dodaje: „Dlaczego mogliśmy tak działać? Bo nas kochali jak świętych!”

Tymczasem nasza gospodyni tak relacjonuje ostatnią wizytę oddziału w gospodarstwie Lipińskich „Orła”:

– Wtedy myśmy tu nikogo nie znali, ani bracia moi nikogo nie znali, ani ojciec, bo myśmy się nie wtrącali w takie sprawy. Oni się tu nic wcześniej nie pokazywali, tu nikt nie przychodził, ja tu

nie widziałam nigdy żadnych takich, bo myśmy się tym w ogóle nie interesowali. Oni tu byli tylko ten jeden dzień wtedy. Było ich kilku, wzięli sobie pościeli no i czy do stodoły mogą gdzieś spać. No, dlaczego nie? Nie było ich gdzie położyć. No i poszli sobie do stodoły spać, no i wie pan, i spali. Rano – bo to było w nocy – później rano my żeśmy tam powstawali, a oni też sobie przespały się, powstawały, latały po podwórku, ganiały się tam, myły się... A kto to był? Nic nie wiedzieliśmy, nikt nic nie wiedział.

„Zośka” opisuje początek starcia z perspektywy członka oddziału „Orła”:

Poszedłem do kuchni pomóc gospodyni przygotować obiad. Około 3 po południu będąc w kuchni u gospodarzy usłyszałem huraganowy ogień. Chwyciłem RKM i wybiegłem przed oborę. Raptem znalazłem się wśród kilku UB-owców. Odwróciłem się i w tym samym momencie poczułem, że ręka mi opada a ciężki karabin wysuwa się z ręki. Gdy dobiegłem do winkła stodoły z każdego palca ciekła mi krew.

Relacje świadków zdarzenia pokrywają się z grubsza z raportem UB:

Co jakiś czas w przerwach strzelaniny nawoływaliśmy bandytów żeby poddali się, lecz ci na te nawoływania odpowiadali salwą karabinów maszynowych. Strzelanina trwała 2h 16 minut i w trakcie jej zapaliła się stodoła, tak że bandyci musieli ze stodoły wyjść. Po wyjściu ze stodoły nie poddali się jednak, ale jeszcze próbowali obstrzeliwać się i uciekać.

W wyniku strzelaniny na posesji Lipińskiego zginęło pięciu ludzi z oddziału „Orła”. Kolejnych czterech aresztowano, z czego jeden zmarł w wyniku obrażeń, a dwóch skazano na karę śmierci. Ranemu Jezierskiemu oddało się zbiec. Schronienie znalazł we wsi Patok. Po opatrzeniu ran ukrywał się przez jakiś czas w okolicznych wsiach, potem w Sulejówku. Wolnością cieszył się niedługo. Został aresztowany w Łodzi w styczniu 1949 roku i skazany na karę śmierci. Wyrok wykonano 28 sierpnia 1949 roku w więzieniu na Rakowieckiej w Warszawie.

Proces wytoczono również gospodarzowi Franciszkowi Lipińskiemu.

– Mamusię puścili na drugi dzień, no a ojciec został dwa lata za to, że nie powiadomił milicji, że jakieś są u niego. A ojciec w ogóle się nie zastanawiał, że to ktoś jest inny, tylko myślał, że to samo wojsko, co w Choszczu. Ojcu wpierali, że ojciec powinien wiedzieć, kto to był – opowiada córka Lipińskiego.

Historycy IPN uważają, że tutejsze struktury podziemne utworzone po 1944 roku, zawdzięczają trwałość przede wszystkim temu, że ich członkowie byli bardzo silnie związani z regionem i ludnością. Wsparcie, jakie uzyskiwali od ludności miałyby wynikać z tego, że byli uznawani za autentycznych gospodarzy na tym obszarze. Prowadzili nie tylko akcje przeciwko komunistycznemu aparatowi represji, ale zaprowadzali na tym terenie porządek, stosując surowe kary wobec bandytów, pospolitych przestępców i informatorów UB.

Czy możliwe jest więc, że wieś Grodzisk była wyjątkowa i nie udzielała czynnego wsparcia partyzantom, albo w ogóle się nie interesowała tym, co się dzieje w okolicy? Czy może strach przed władzą ludową i surową karą za wspieranie podziemia

Sanatorium Rudka

Trzy kilometry od stacji Grodziszcz Mazowieckie, w miejscowości Rudka, znajduje się kompleks budynków szpitalnych dawnego sanatorium przeciwgruźliczego. Otoczone sosnowym lasem sanatorium powstało na początku XX wieku z inicjatywy doktora Teodora Dunina. Do końca XIX wieku uważano, że jedynie górski klimat daje dobre efekty w leczeniu gruźlicy. Tymczasem projekt Dunina zakładał wybudowanie sanatorium w niedużej odległości od Warszawy, z myślą o niezamożnej ludności, dla której kosztowne leczenie w górskich sanatoriach było niedostępne. Odpowiedni klimat, duże zalesienie, przepuszczalny grunt i czyste powietrze, oraz połączenie kolejowe z Warszawą, przemawiały za wyborem tej lokalizacji. Jednym z architektów nadzorujących projekt był Stanisław Lilpop, twórca miasta-ogrodu w Podkowie Leśnej. Otwarcie sanatorium nastąpiło w 1908 roku. Na terenie rezerwatu leśnego Rudka Sanatoryjna powstało wówczas wschodnie skrzydło budynku głównego oraz drewniana leżalnia dla pacjentów, na której chorzy na gruźlicę „werandowali” zgodnie z zaleceniami lekarzy. W tym samym czasie uruchomiono tramwaj konny, zsynchronizowany z rozkładem jazdy pociągów zatrzymujących się w Mrozach – do końca lat 60. stanowił główne połączenie sanatorium ze stacją kolejową. Do dziś leczy się tutaj choroby płuc, a w ostatnich latach ponownie uruchomiono linię tramwaju konnego.

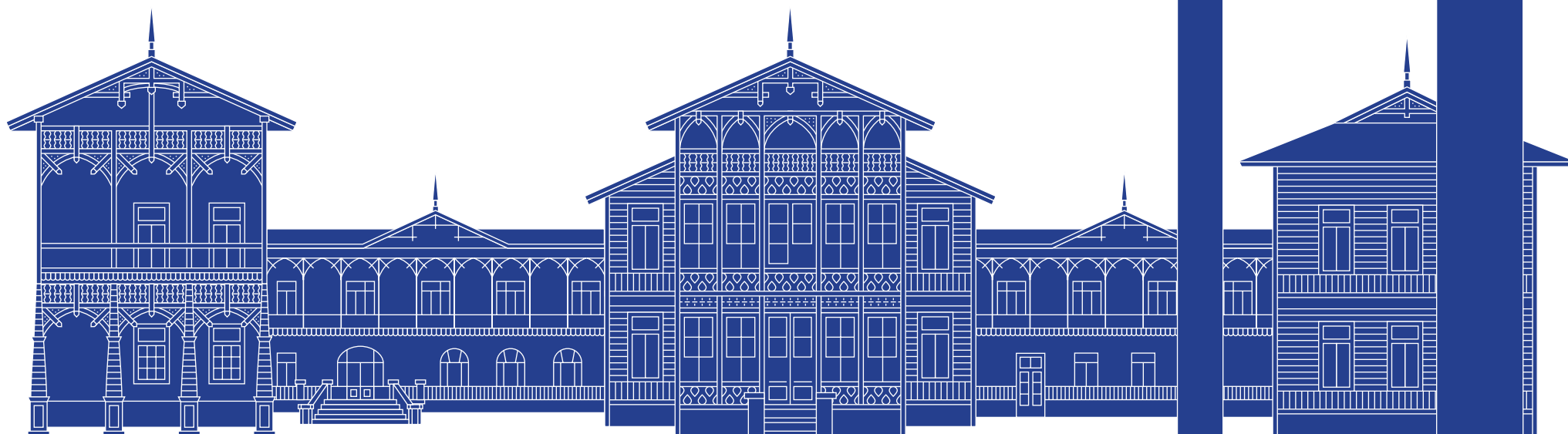
nadal jest tak silny, że mieszkańcy, którzy pamiętają tamte czasy, do dziś nie przyznają się do udzielanej pomocy? Czy gospodarze rzeczywiście nie wiedzieli, kogo goszczą w stodole? Czy naprawdę nie zwracali uwagi na to, czy orzełek na czapce ma koronę czy już nie? Czy może jest to linia obrony przed władzami, która przez lata tak się utrwaliła, że powoli stała się prawdą dla uczestników tamtych wydarzeń? A może to historycy są w błędzie i trwałość struktur podziemnych na tym terenie wcale nie wynikała ze wsparcia lokalnej ludności? Może mieszkańcy wcale nie uważali ich za gospodarzy, a ich siłą płynęła ze skutecznego posługiwania się strachem?

Z relacji mieszkańców wynika, że okres powojenny na tym obszarze był niezwykle trudny i niebezpieczny. Stosunki międzysąsiedzkie były bardzo skomplikowane. Część ludności sprzeciwiała się nowemu systemowi, inni odczuli za budowę nowego porządku. Na różnice polityczne nakładały się często zwykłe sąsiedzkie zatargi i lokalne animozje. Brak kontaktu oddziałów leśnych z kierownictwem NSZ i narastające zagrożenie dekonspiracją prowadziły często do chaosu wewnątrz organizacji. Niektórzy zaczęli działać na własną rękę, zdarzały się osobiste porachunki, a ludzie ginęli często z niewyjaśnionych powodów, tak jak student Janek Fajfer, dyrektor gimnazjum w Mrozach Franciszek Mondzelewski czy członek AK Tadeusz Szymerowicz. Ustalenie prawdziwych okoliczności i charakteru zdarzeń sprzed siedemdziesięciu lat często jest już niemożliwe. Jeszcze trudniejsza jest ocena moralna tych działań.

– Straszne czasy, nawet gorsze niż w czasie wojny – mówią starsi mieszkańcy – Dziś wszyscy zapomnieli, jak ludzie się ich bali, że nie było idealnie, jak się teraz mówi. Łatwiej było wojnę przeżyć, bo człowiek wiedział, że okupant był wrogiem, ale żeby zabijać swoich?

Otwock

W Otwocku straszą zgliszcza świdermajerów. W ostatnich latach pożary tych drewnianych budynków wybuchały tak często, że zaczęto podejrzewać celowe podpalenia.



Dawny pensjonat Gurewicza

Dla każdego, kto po raz pierwszy przybywa do Otwocka, miejscowość ta przedstawia się niewątpliwie nader oryginalnie: duża przestrzeń lasu sosnowego, poprzecinana licznemu ulicami i uliczkami z mnóstwem różnorodnych willi i dworców, otoczonych mniejszymi lub większymi parkami i często nader gustownymi ogródkami, tworzy pewnego rodzaju labirynt, w którym bez planu lub przewodnika trudno się na razie orientować.

Ten akapit z *Przewodnika po Otwocku i jego okolicach*, wydanego w roku 1906 nakładem drukarni Kaniewskiego i Waclawowicza, można właściwie dziś przepisać w całości. Tyle, że należałoby mocniej podkreślić ostatnie zdanie – w dzisiejszym Otwocku bez planu czy przewodnika możemy zakończyć wycieczkę na stwierdzeniu, że to warszawska podmiejska miłościna, jakich wiele. Nic bardziej mylnego.

Pierwszym sygnałem tego, że Otwock musi kryć w sobie jakąś historię, jest dworzec kolejowy. Od strony peronów wchodzimy do hali pod imponującą drewnianą wiatą, która zdecydowania bardziej niż do podwarszawskiej sypialni pasowałby do którejś z miejscowości z charakterystycznym członem „-zdrój” w nazwie.

Stacja powstała w 1910 roku. Autorzy przewodnika wydane-go kilka lat wcześniej piszą, że Otwock jest „jednym z najczęściej odwiedzanych uzdrowisk krajowych”. I nagle staje się jasne, kto chronił się przed deszczem i słońcem pod drewnianą wiatą. Dziś w Otwocku kuracjuszy spotkać o wiele trudniej niż przed stu laty. Ale jeśli dobrze poszukamy, możemy się w Otwocku przenieść do uzdrowiska z przełomu XIX i XX wieku. Trzeba tylko odpowiednio dobrać trasę i nie zgubić się w labiryncie.

O XIX wieku mówi się, że był wiekiem pary i elektryczności, ale równie dobrze można by powiedzieć, że była to epoka uzdrowisk. Kultura uzdrowiskowa w Europie była zjawiskiem z pogranicza nauki i obyczajów. Z jednej strony w uzdrowiskach rzeczywiście leczono rozmaite dolegliwości, przede wszystkim choroby płuc. Ale bywanie w uzdrowiskach to nie tylko sposób na gruźlicę. Dla wyższych sfer długie pobyty i krótkie wypady „do wód” stały się ważnym elementem stylu życia. Gdyby wybrać dwa symbole rozwoju Europy w tym okresie, to jednym byłby zapewne ceglany komin fabryki, a drugim – niejako odwrotnością pierwszego – zanurzone w zieleni wille z drewnianymi werandami, znak rozpoznawczy uzdrowiska. Pierwszy symbol XIX wieku jest już właściwie nie do znalezienia w dzisiejszej Warszawie i jej okolicach. Za to celem wycieczki do Otwocka może być poszukiwanie tego drugiego.

Otwockie wille w których mieszkali kuracjusze i letnicy z Warszawy nazywa się „świdermajerami”. Określenie wzięło się

Żydowski Otwock

Jest późny, ale ciągle upalny sierpień. Tuż przed zmierzchem stoimy na bocznicy kolejowej obok stacji Otwock. Jest nas około 200 osób. Wszyscy słońce ciasno pod jednym z gospodarczych budynków obok dworca. Stoimy właściwie bezpośrednio na torach, tuż obok nas co jakiś czas wjeżdża pociąg na otwocką stację kolejową. Wśród tłumu są między innymi Józef Nitzan i Marek Oren z Izraela, jedni z ostatnich żyjących mieszkańców przedwojennego, żydowskiego Otwocka. Mówią łamiącym się głosem o tysiącach swoich sąsiadów, których 19 sierpnia 1942 roku wywieziono do Trebłinki podczas akcji likwidacyjnej otwockiego getta. „Żaden dzień nie zmienił historii Otwocka tak bardzo, jak ten” brzmi hasło na plakacie wiszącym na murku, przy którym palą się znicze. Przemowom towarzyszy jedynie oszczędne tło muzyczne na wiolonczeli i dźwięk odjeżdżających pociągów. Po chwili ruszamy w Marszu Pamięci Otwockich Żydów. Od 2002 roku organizuje go Społeczny Komitet Pamięci Żydów Otwockich i Karczewskich w porozumieniu z władzami miasta. Do marszu może dołączyć każdy i mimo że upamiętnia on tragiczny koniec tej społeczności, to w jego trakcie można dowiedzieć się sporo o życiu otwockich Żydów.

„W odległości kilkunastu kilometrów od Warszawy leży małe miasteczko Otwock. Było ono słynne na całą Polskę ze swego krystalicznego powietrza i sanatoriów dla ludzi cierpiących na choroby płuc. Kilometrami ciągnęły się sosnowe lasy i na tych żywicznych terenach Żydzi stawiali sobie domy, nazywane też willami. Drewniane, pomalowane na brązowo i koniecznie z werandą, prawie wszystkie wyglądały identycznie. Latem do Otwocka i sąsiednich miejscowości przybywały tysiące rodzin. Trudno sobie wyobrazić, że nie ma tam już Żydów. Pozostał tylko piasek, na którym budowaliśmy...” Tak Otwock opisywał Izaak Bashevis Singer. Pierwsze żydowskie sanatorium otwarto tutaj już w 1895 roku. Nieprzerwanie do wybuchu II wojny światowej prowadziła je rodzina Przygodów. Budynek przy ul. Warszawskiej 5 stoi do dziś. Ale zamożni, zasymionowani Żydzi, którzy budowali tu letniskowe domy i pensjonaty to tylko jedna strona tej opowieści. Rozdziela je zresztą linia torów kolejowych – po jednej stronie dominowały wille, a po drugiej, w okolicach placu bazarowego mieszkała mniej zamożna żydowska ludność. W 1939 roku Otwock liczył dziewiętnaście tysięcy mieszkańców, z czego około 75% stanowili Żydzi.



Rzeka Świder

Krajobraz Otwocka przecinają dwie linie. Pierwsza to trasa kolejowa tzw. Kolei Nadwiślańskiej, która została otwarta w 1877 roku i prowadziła od przygranicznego wtedy miasta Mława przez Warszawę, Lublin i Chełm do Kowla. To dzięki niej w XIX wieku Otwock zaczął się dynamicznie rozwijać i zyskał wkrótce miano uzdrowiska. Drugą jest linia rzeki Świder, która wije się przez okoliczne miejscowości przecinając otulinę Mazowieckiego Parku Krajobrazowego i wpływa do Wisły właśnie na wysokości Otwocka. Im bliżej tego punktu, tym ciekawsza staje się przyroda i krajobrazy – na terenie rezerwatu Wyspy Świdorskie u ujścia Świdra do Wisły występuje około 140 gatunków ptaków. W pobliżu Warszawy nie ma drugiego tak atrakcyjnego miejsca dla ptasiarzy.

Choć rzeka Świder na swoim pierwszym odcinku jest raczej rzeczką niż rzeką, to już od obrzeży Otwocka można śmiało myśleć o spływaniu kajakiem. Od miejscowości Wólka Mładzka spływ do Wisły zajmuje około 4 godzin. Przez cały czas płyniemy rezerwatem, trzeba więc liczyć się z zagrządzającymi drogę zwalonymi konarami drzew czy kamieniami. I o to właśnie chodzi. A przy odrobinie samozaparcia spływ Świdrem można zamienić w całodzienną wycieczkę połączoną ze spłynięciem Wisłą do Warszawy.

Ale swoją prawdziwą popularność rzeka zawdzięcza dobrym warunkom do kąpeli i plażowania. To o tyle ciekawe, że nad Świdrem nie funkcjonuje żadne legalne kąpielisko, a co do czystości wód zdania są podzielone – choć wyniki kontroli na wiosnę 2016 roku wykazały, że normy nie są przekroczone. W każdy ciepły dzień nadświdrzańskie plaże – szczególnie w pobliżu większych miejscowości, takich jak Otwock – cieszą się rekordową popularnością. Poszukiwanie dzikiej plaży nad Świdrem może być samo w sobie celem wycieczki, np. rowerowej. Wystarczy dojechać koleją do stacji Józefów i jechać drogą numer 721 (ulica Wiązowska) na północ. Prawie każda mniejsza uliczka czy nawet ścieżka leśna, którą skręcimy w prawo, doprowadzi nas nad brzegi rzeki. Zaskoczeniem mogą być wysokie skarpy, które otaczają brzegi na tym odcinku. Poszukiwanie dobrego zejścia do wody może trochę potrwać, ale w nagrodę będzie płytka i raczej bezpieczna rzeka z piaszczystym dnem. W tej odległości o Warszawy trudno o konkurencję jeśli chodzi o kąpiel w wodzie bez chloru.

z wiersza Konstantego Ildefonsa Gałczyńskiego i nawiązuje do rzeki Świder, która płynie przez Otwock i okoliczne miejscowości. Za twórcę stylu świdermajer uważa się rysownika Michała Elwiro Andriollego, który począwszy od 1880 roku zaczął w tych okolicach budować domy letniskowe. Wiele z nich powstało według jego autorskiego projektu. Wraz z rozwojem linii kolejowej drewniane wille zaczęły powstawać również w innych miejscowościach. Anin, Międzyzlesie, Radość, Miedzeszyn, Falenica, Michalin, Józefów, Świder, Śródborów – wszystkie te miejscowości ogarnęła moda na świdermajer.

Nie oczekujemy jednak, że świdermajery w Otwocku zobaczymy od razu po wyjściu ze stacji. Są ukryte między wieloma współczesnymi budynkami, które zdominowały krajobraz dzisiejszego Otwocka. Ich poszukiwanie zacząć można od budynku, który można określić „nad-świdermajerem”. Pensjonat Abrama Gurewicza każdy mieszkaniec Otwocka nazywa po prostu Gurewiczem. Ten największy drewniany budynek w Polsce i jeden z większych w Europie imponował rozmachem: siedem skrzydeł budynku, drewniane mansardy i ogromne tarasy do kąpeli słonecznych. Wszystko to zanurzone w parku, który łączył mazowiecką sosnę z rosnącymi w oranżeriach bananowcami. Budowę Gurewicza rozpoczęto w roku 1906, a następnie etapami rozbudowywano przez niemal dwadzieścia kolejnych lat. Po wojnie stracił swój uzdrowski charakter – był m.in. szpitalem, liceum medycznym a nawet siedzibą NKWD. Niestety, w chwili obecnej Gurewicza nie można już podziwiać w oryginale. W 2016 roku budynek został rozebrany ze względu na zły stan techniczny i będzie odtwarzany od zera przez inwestora, który po latach stagnacji chce tchnąć w niego nowe życie.

A zatem, żeby znaleźć prawdziwe świdermajery w swojej oryginalnej substancji trzeba się zapaść nieco głębiej w uliczki Otwocka. Niedaleko Gurewicza, ale po drugiej stronie torów, ukryta w lesie przy ul. Konopnickiej 7a stoi Willa Kahana. To tutaj kręcony był film *Pora umierać* z Danutą Szaflarską w roli głównej, a sam dom grał w filmie równie ważną rolę co legendarna aktorka. To, co w Willi Kahana najbardziej charakterystyczne, to ażurowe detale drewnianych, przeszklonych werand – znak rozpoznawczy stylu naddświdrzańskiego. Warto ich wypatrywać w kolejnych zaułkach Otwocka, pamiętając przy tym, że podobnie jak w przypadku Willi Kahana, zazwyczaj trzeba się najpierw przebić przez zarośla, żeby dostrzec ukryty wśród drzew drewniany dom.

Nie dotyczy to akurat budynku stojącego przy ul. Kopernika 8. Ten akurat nie może pochwalić się bogatymi zdobieniami czy werandami. To przykład bardziej surowej odmiany stylu

nadświdrzańskiego. Uwagę zwracają za to rozmiary – wielkościami to raczej kamienica niż willa. Ale najważniejsza jest historia budynku. W domu przy Kopernika mieszkała jako dziecko Irena Sandlerowa, najsłynniejsza z Polek odznaczonych tytułem Sprawiedliwych Wśród Narodów Świata. Jej ojciec Stanisław Krzyżanowski był lekarzem i prowadził nad Świdrem sanatorium, które słynęło z tego, że chorych na choroby płucne „werandowano” nawet zimą.

Na tych dwóch przykładach nie kończy się przegląd stylu nadświdrzańskiego. W uliczkach Otwocka ukryte są świdermajery parterowe (dawny pensjonat Gołembowskich na ul. Prusa) czy piętrowe zakończone wieżyczką (willa Kasperowiczówka na tej samej ulicy).

Niestety, wśród tej różnorodności charakterystycznym elementem krajobrazu Otwocka są także zgliszcza świdermajerów. W ostatnich latach pożary tych drewnianych budynków wybuchały tak często, że zaczęto podejrzewać celowe podpalenia. Budzi to coraz większe emocje wśród mieszkańców, ale też zwraca uwagę na kruchość wyjątkowej architektury.

Co ciekawe, do stylu nadświdrzańskiego zaczęto też nawiązywać w zupełnie nowym budownictwie. Projektanci osiedla przy rogu ul. Kopernika i Żeromskiego zdecydowali się wkomponować w szczyty budynków drewniane zdobienia charakterystyczne dla świdermajerów. Oceny tego, czy to udany mariaż, każdy musi dokonać sam.

Według informacji urzędów, na początku XX wieku w Otwocku było około 700 drewnianych budynków. Dziś stanowią one mniejszość i są rozrzucone po całej miejscowości. Ale jest jedno miejsce, w którym nadal można zobaczyć, jak mogła wyglądać tkanka miejska złożona z drewniaków. „Cała zresztą ulica Kościelna otoczona jest ładnymi willami wśród gustownych parków i ogrodów” – pisali autorzy *Przewodnika po Otwocku* z 1906 roku. Na ulicę Kościelną trzeba się wybrać, by zobaczyć, czym mógł być Otwock sto lat temu. Widok skrzyżowania dwóch miejskich ulic (Kościelnej i Kościuszki), otoczonego z trzech stron stron stuletnimi, okazałymi drewnianymi willami, daje nam wyobrażenie o tym, jak wyglądało XIX-wieczne uzdrowisko pełną gębą.

Celestynów

Zamiast uciekać przed cywilizacją do Indonezji, można wsiąść w pociąg i godzinę później odnaleźć pełnię na podwarszawskim bagnie.



Centrum Edukacji Leśnej

Masz już dość wszystkiego? Męczy cię praca, ciągłe spotkania i miasto oglądane przez biurową szybę? W tej szarej rzeczywistości kolory widzisz tylko na ekranie smartfona?

Masz poczucie, że nie żyjesz naprawdę?

Niektórzy twierdzą, że odpowiedzią na twoje problemy będzie rzucenie wszystkiego i ucieczka w Bieszczady. W wersji dla tych bogatszych: wyjazd do Indonezji w poszukiwaniu swojego prawdziwego Ja. Dobry pomysł? Niekoniecznie. O szczęście w dżungli równie trudno jak w Mordorze. Zresztą, jego uproszczona wizja, jaką jesteśmy bombardowani („Rzucił pracę w korporacji i wyjechał w świat!”) ładnie wygląda na ekranie, a gorzej w rzeczywistości. Owszem, można wzorem Henry’ego Davida Thoreau zamieszkać samotnie w środku lasu w drewnianej chatce. Genialny pomysł jednak zamieni się w koszmar, kiedy zimą zamarznie woda w wiadrze, dym z kominka wypełni nam całą chatkę, a wygodka zapadnie się w swój dół. Urok sielankowego życia na łonie natury przyska dość szybko – zwłaszcza, gdy kończą się pieniądze, a problemy zostają.

Jednak po tygodniu pracowania w stresie i oddychania miejskim smogiem, uciec po prostu trzeba. Co jednak możemy zrobić, skoro świadomi smutnych uwarunkowań jednostki zagubionej w korporacyjnym kapitalizmie post-politycznego i całkowicie zglobalizowanego świata, w którym nie można żyć naprawdę, wiemy już, że nasze prawdziwe Ja nie czeka na nas na gruzińskich stepach, na plażach Indonezji czy w małej mieścinie w Ekwadorze? Gdzie szukać szczęścia, którego pozbawia nas okrutny ponowoczesny świat?

Okazuje się jednak, że istnieje rozwiązanie alternatywne. Zawsze można rzucić wszystko tylko na jeden dzień i wyjechać do Celestynowa.

Jakkolwiek dziwnie i intrygująco by to nie brzmiało, takie wyjście ma właściwie same zalety. Celestynów – wyjątkowa wieś leżąca w przepięknym regionie pomiędzy Otwockiem a Pilawą – znajduje się niecałą godzinę drogi pociągiem Kolei Mazowieckich od stacji Warszawy Śródmieście. Bardziej wysportowani mogą przejechać całą drogą rowerem, bardziej leniwi – samochodem. Najlepszą opcją wydaje się wzięcie roweru do pociągu.

Gdy przyjedziemy już na miejsce, zapakowawszy w plecak – jak na prawdziwych traperów przystało – zapas kanapek i herbatę w termosie, będziemy mogli rozpocząć naszą wyprawę podróżniczą w znane-nieznane. Największą atrakcją gminy Celestynów otaczającą wieś o tej samej nazwie są rozległe bagna i lasy, poprzecinane siecią szlaków i leśnych dróg, dlatego najlepiej zwiedzać je na rowerze lub pieszo. Koniecznie trzeba zobaczyć słynne na cały Mazowiecki Park Krajobrazowy rezerwaty,

jak bagno Całowanie lub Czarci Dół. Są piękne ze względu na swą faunę i florę, bo znaleźć tu możemy zagrożoną wyginięciem brzozę niską, ślicznie kwitnącą firletkę poszarpaną i ostrożeń łąkowy, a w lesie mamy szansę spotkać także łosie, dziki, sarny, lisy oraz ciekawe gatunki ptaków (kszyka, błotniaka, krwawodzioba) i motyli (czerwończyka fioletka, modraszka tulejusa). Jeśli będziemy mieć wyjątkowe szczęście, uda się nam spotkać na swojej drodze jelenie – zdarza się to jednak niezwykle rzadko, bo to zwierzęta bardzo płochliwe. Wspomniane rezerваты są też fascynujące i warte uwagi ze względu na romantyczne legendy z nimi związane. Całowanie miało wziąć swoją nazwę od rosnącej tu paproci zwanej nasięźrzałem pospolitym, mającej podobno



Nie tylko lasy

W samym Celestynowie warto zwrócić uwagę na drewniany budynek dworca z 1900 roku. Zachował się w całkiem dobrym stanie i łączy dziś swoją pierwotną funkcję z zupełnie nowym przeznaczeniem – na dole znajdują się kasy, na piętrze mieszkania komunalne. Ciekawy jest też pochodzący z drugiej połowy XIX wieku dworek Radzińskich przy ulicy Otwockiej 18. Obecnie funkcjonuje on jako dom weselny.

Najstynniejszego zabytku Celestynowa nie można już zobaczyć w przestrzeni miasta. Willa Koprówka została zburzona w 2004 roku. Był to dom rodzinny prof. Hilarego Koprowskiego, wynalazcy pierwszej szczepionki przeciwko wirusowi polio. Obecnie w Celestynowie działa stowarzyszenie Koprówka, które zabiega o odbudowę willi i stworzenie w niej miejscowego muzeum, ale te plany wydają się mało realne.

Okolice Celestynowa to przede wszystkim na ślady pozostałe po II wojnie światowej. Wśród nich uwagę zwracają schrony na Dąbrowieckiej Górze, wykorzystywane przez Niemców podczas walk w 1944 roku. Warty uwagi jest również cmentarz w pobliskim Ostrowie. Pochowani są nim niemieccy osadnicy, którzy w tej okolicy mieszkali aż do końca drugiej wojny światowej. Interesujące jest także Obserwatorium Astronomiczne Uniwersytetu Warszawskiego w Ostrowiku – przechowywany jest w nim 3,5 kilogramowy meteoryt, który spadł w 1935 roku.

moc zwabiania kawalerów i odgrywającej niebagatelną rolę podczas nocy świętojańskiej. Z Czarcim Dołem zaś związana jest przepowiednia, jakoby na dzień końca świata to właśnie stamtąd miałyby wylęgnąć przerażające demony i diabły.

By miło i przyjemnie spędzić czas w lasach gminy Celestynów i nie ryzykować zgubienia się, warto trzymać się oznaczonych szlaków, przeznaczonych dla pieszych, rowerzystów, a także dla narciarzy biegowych zimą. Jest ich dość dużo i często wybiegają nawet poza teren samej gminy, każdy więc znajdzie dla siebie coś interesującego. Do wyboru są trasy krótsze i dłuższe, przebiegające przez dolinę Świdra, pola i łąki, pofałdowany krajobraz, rezerваты, bagna, lasy mieszane czy torfowiska. Większość z nich prowadzi przez małe, malownicze wsie gminy Celestynów, część zahacza o większe miejscowości o bogatej historii (Wiązowna, Otwock Wielki, Góra Kalwaria), w których warto zrobić przerwę na zwiedzanie. Prawie wszystkie szlaki prowadzą przez punkty widokowe, czasem na swej drodze możemy także zobaczyć pomniki przyrody. Część szlaków jest dość wymagająca i długa, można więc w zależności od potrzeb podzielić je na odcinki. Większość tras jest dostępna cały rok, nie tylko sezonowo. Różnorodność jest więc ogromna, dzięki czemu podróżnik będzie mógł w pełni odkryć piękno mazowieckiego krajobrazu.

Dla tych zainteresowanych bardziej rzeczywistą biologią i botaniką, ciekawe może się okazać znajdujące się w Celestynowie Centrum Edukacji Leśnej. Można tam między innymi wziąć udział w zajęciach z edukacji przyrodniczej czy obejrzyć intrygującą makietę Cykl Życia Lasu, przedstawiającą faunę i florę gminy Celestynów. Warto zobaczyć znajdujący się tam pomnik-cmentarz, na który składa się lasek młodych drzew poświęcony zmarłym tragicznie m. in. w Katyniu leśnikom z inskrypcją: „Wierni Bogu, Ojczyźnie i Lasom”. Centrum Edukacji Leśnej ze względu na ogólnodostępne duże, drewniane wiaty jest też po prostu dobrym miejscem na wypoczynek i przerwę obiadową w podróżniczej wycieczce.

Zaleta jednodniowej ucieczki z miasta do lasów Celestynowa nie polega tylko na tym, że jest to tanie, łatwe do zorganizowania i nie zabierze wiele czasu. Wybierając Celestynów – a nie Indonezję czy Alaskę – na miejsce swojej romantycznej ucieczki na łono natury, wspieramy przecież lokalny patriotyzm, kultywując wspaniałe tradycje krajoznawcze.

I możemy to robić cały rok – bo zimą, zamiast jechać na narciarstwo w Alpy, lepiej się wybrać na biegówki. Wiadomo gdzie.



Szlaki krajoznawcze w Celestynowie

Szlak wiejski (żółty)

Stara Wieś – Osieck

całkowita długość: 20,7 km

Stara Wieś (0 km) – Lasek (4 km) – Regut (7 km) – Ponurzyca (13,9 km) – Czarci Dół (16,7 km) – Osieck (20,7 km)

Warszawska obwodnica turystyczna (czerwony)

Góra Kalwaria – Warszawa Rembertów

całkowita długość: 54,3 km

Góra Kalwaria (0 km) – Otwock Wielki (10 km) – Jezioro Czarne (15,7 km) – Biała Góra (17,8 km) – Okoły (20,3 km) – Pogorzelska (22,1 km) – Otwock Meran (26,6 km) – Warszawa Rembertów (54,3 km)

Szlak pejzażowy (zielony)

Koźbiel – Otwock

całkowita długość: 31 km

Koźbiel (0 km) – Celestynów (13 km) – Lasek (17 km) – Okoły (24 km) – Otwock (31 km)

Szlak borów nadwiślańskich (czerwony)

Warszawa Radość – Pilawa

całkowita długość: 67 km

Warszawa Radość (0 km) – Otwock Ratusz (20 km) – Kamień Leśnika (25,7 km) – Dąbrowiecka Góra (27,4 km) – Dąbrówka (29,7 km) – Celestynów Radzin (31,7 km) – Celestynów (33,1 km) – Rezerwat Żurawinowe Bagno (36,5 km) – Regut Rynek (39,8 km) – Podbiel Kamionki (42,4 km) – Ponurzyca I (44,8 km) – Ponurzyca II (47,0 km) – Czarci Dół (48,1 km) – Osieck PKP (51,1 km) – Pilawa PKP (67,0 km)

Szlak czartów mazowieckich (zielony)

Zabieźki – Koźbiel PKP

całkowita długość: 17,5 km

Zabieźki (0 km) – Czarci Dół (7 km) – Ponurzyca (9,8 km) – Las Ponurzycki (14,5 km) – Koźbiel PKP (19,0 km)

Warka

Gdy brakuje przewodników do oprowadzania po mieście turystów, posiłki wzywane są za pomocą głośnego gongu.



Ratusz i pomnik
Stefana Czarniecki

Specjaliści od naukowych kalkulacji i porównywalnych wskaźników powiedzą potem, że zniszczenia w Warce sięgnęły 87% zabudowy. To dużo, nawet jak na Polskę. Mniej więcej tak samo jak w Warszawie, która jest symbolem równania miast z ziemią, a potem wznoszenia ich na nowo. Wiktor Krawczyk, nauczyciel i krajoznawca z Warki, marzył że jego miasto też stanie się ikoną odbudowy.

Na razie jest styczeń 1945 roku. Nie ma jeszcze politycznej pewności, co do tego gdzie i jak odbudowa będzie przebiegać. Mimo to, gdy tylko na mazowieckich drogach czołgi i kolumny wojsk ustąpią miejsca cywilom, zaczyna się wielka wędrówka do domów. Tłumy ciągną przede wszystkim w kierunku Warszawy. Wiktor Krawczyk jest jednym z tych, którzy idą w odwrotną stronę. Razem z innymi mieszkańcami Warki został wyewakuowany w sierpniu '44. Opisany przez niego wcześniej i potem „skarpy nad Pilicą” wraz z „pełnymi uroku sadami i doliną rzeczną, urozmaiconą plażami, łąkami, zalewami i lasami” na prawie pół roku stały się przyczółkiem warecko-magnuszewskim, o który brutalne walki prowadziły z Niemcami Armia Radziecka i LWP.

Teraz wraca do domu i wrażenie jest piorunujące. Z 450 przedwojennych budynków do zamieszkania nadaje się pięć. W jednym z nich swój sztab urządziła Armia Czerwona. Zwycięski kapitan przyjmuje interesantów jako tymczasowy komendant wojenny Warki. Widać, że tytuł mu ciąży. Przed nim droga do Berlina, a zarządzanie gruzami to same kłopoty. Dlatego urzędowanie zaczyna od wiecu, podczas którego mieszkańcy mogą wskazać, kto z nich najlepiej nadaje się do przejęcia sterów w mieście. Jak odnotowuje tradycja, nazwisko Krawczyka pada od razu i w zasadzie nie znajduje konkurencji. Bo nauczyciel, bo działacz oświatowy, bo kocha region, bo zawzięcie konspirował przez całą okupację. No i płynnie mówi po rosyjsku.

Z radzieckiego sztabu Krawczyk wychodzi jako burmistrz morza ruin. Ale ma plan na odbudowę – zarówno budynków, jak i społeczności lokalnej. Nowa-stara Warka ma kontynuować to co najlepsze w siedemsetletniej historii. W jego marzeniach panorama miasta idealnego to przede wszystkim zabytki i przemysł. Między nimi domy mieszkalne – nie drewniane baraki, ale murowane i higieniczne kamieniczki. I najważniejsze – mieszkańcy. W domach, na ulicach, w zakładach pracy i w zabytkowych świątyniach ma być pełno ludzi. Najlepiej młodych, którzy znają historię Warki i są z niej dumni – a dzięki temu lepiej pracują dla miasta i dla kraju. Dookoła miasta – pełne ludzi kwitnące sady i lasy, oznakowane szlaki piesze i kolarskie, a także czyste rzeki i wypożyczalnie sprzętu wodniackiego.

Burmistrz Krawczyk zaczyna odbudowę od struktur edukacyjnych. Chaos w szkolnictwie trwa już zdecydowanie zbyt długo, kolejne roczniki muszą wejść w tryby normalnej nauki, inaczej stracone będzie całe pokolenie. W ciągu kilku miesięcy działanie wznawiają dwa licea i szkoła podstawowa. Potem przychodzi czas na turystykę i krajoznawstwo. Cel jest prosty: mieszkańcy oraz turyści z Warszawy i całej Polski muszą uwierzyć w Warkę.

*

Na 1949 rok Biblioteczka Krajoznawcza, czyli seria popularnych przewodników wydawanych przez Polskie Towarzystwo Krajoznawcze (PTK), zaproponowała czytelnikom dwanaście pozycji.



Muzeum Kazimierza Pułaskiego

Obecnym rezydentem Pałacu Pułaskich w Winiarach jest Muzeum Kazimierza Pułaskiego. Założone przez PTTK muzeum regionalne już po kilku latach funkcjonowania, w 1961 roku musiało ustąpić miejsca nowo organizowanej placówce, która miała poparcie nie tylko władz wojewódzkich i krajowych, ale też ambasady USA. Najstłynniejszy domniemany rezydent winiarskiego pałacu jest przecież „bohaterem dwóch narodów”. To nic, że dzieliła je wówczas Żelazna Kurtyna. Amerykanie bardzo zainteresowali się ekspozycją o Pułaskim w małym mazowieckim miasteczku, a mieszkańcy Warku od razu zamierzali o dolarach na dalszą odbudowę miasta. Regionalia szybko zostały wyniesione do magazynu. Ich miejsce zajęły ekspozycje dotyczące Pułaskiego i innych encyklopedycznych postaci, które w swoim życiu odnotowały mniej lub bardziej znaczący epizod na amerykańskiej ziemi – Kościuszki, Sienkiewicza, Niemcewicza, Modrzejewskiej, Paderewskiego. Każdy z nich posiada swoją salę w której zaprezentowane są biografie, pamiątki i dzieła sztuki związane z bohaterami. Przed kilkoma laty, muzeum wraz z otaczającym je parkiem przeszło gruntowy remont. Wtedy właśnie na piętro pałacu wróciła ekspozycja na temat Warki, a lokalne i globalne aspiracje wareckich pasjonatów historii zostały ostatecznie pogodzone.

Czasy są takie, że nawet kierunek wakacyjnej wycieczki musi być frontem walki politycznej. Polaków zachęca się przede wszystkim do wyjazdów na tzw. Ziemię Odzyskaną. Wybrać można między przewodnikiem m.in. po Sopocie, Darłowie, ziemi Lubuskiej, Kołobrzegu czy województwie olsztyńskim. Wart uwagi jest bedeker poświęcony perle nowej Warszawy, trasie WZ. Autorzy nie zapomnieli również o klasycie gatunku, czyli Żelazowej Woli. Na tej liście przebojów polskiego krajoznawstwa roku '49 najbardziej egzotycznie wygląda przewodnik po mazowieckiej Warce, napisany przez Wiktora Krawczyka.

Gdy przewodnik zostaje wydany w niemałym nakładzie pięciu tysięcy egzemplarzy, autor nie pełni już funkcji burmistrza.



Miasto siedmiu kościołów

Warka kiedyś była wielka. Opowieściom o przeszłości miasta rumieńcom przydaje często anegdota o dwóch szlachciankach, które w środku epoki nowożytnej z daleko idącym sceptycyzmem zastanawiają się, kiedy prowincjonalna Warszawa zdoła dogonić Warkę – rozmiarem, znaczeniem, jakością zabudowy. Miarą dawnego znaczenia Warki jest tytuł „miasta siedmiu kościołów”. Do dziś zostały z nich dwa, zresztą mocno pobijane przez klęski ostatnich kilku stuleci. Bardziej okazały z tej pary jest kościół pofranciszkański, który w podziemiach barokowego wnętrza kryje dostępne do zwiedzania krypty ze szczątkami książąt mazowieckich Trojdena oraz Ziemowita III. Do obecnego miejsca spoczynku zostały one przeniesione w połowie XIX wieku. Inicjatywa podobno wyszła od samego Piotra Wysockiego. Nie mógł on znieść pochówku bohaterów narodowych w zrujnowanym kościele dominikańskim, który szpecił warecki rynek. Mieszkańcy Warki w procesji odprawdzili doczesne szczątki książąt w nowe miejsce spoczynku, a dominikańska świątynia została zburzona. Obecnie w jej miejscu znajduje się remiza OSP.

Starszy i ważniejszy od franciszkanów jest kościół farny pod wezwaniem św. Mikołaja. Nie może on się pochwalić książęcymi pochówkami, ale za to według legendy w jego podziemiach spoczywa Stanisław Ciołek, który w XIV wieku uchodził za najsilniejszego człowieka w okolicy i podobno sam wciągał dzwony na kościelne wieże.

Najpierw sam rezygnuje ze stanowiska, by objąć funkcję dyrektora liceum, potem zmienia się organizacja struktur władzy na poziomie lokalnym i w wareckim ratuszu pojawia się Miejska Rada Narodowa. Od tego momentu miastem rządzić będzie ciało kolegialne. Krawczykowi jest to całkiem na rękę: zostaje aktywnym członkiem Prezydium i z czystym sumieniem zostawia przemysł i budownictwo komu innemu. Dzięki temu może skutecznie zarządzać szkołami. Coraz więcej czasu zajmuje mu też zaangażowanie w lokalny oddział PTK. Jest jego inicjatorem i główną siłą napędową. Zaczyna od wzniesienia pomnika upamiętniającego poległych mieszkańców Warki, organizuje też 150 rocznicę urodzin Piotra Wysockiego, inicjatora powstania listopadowego, który urodził się i zmarł w Warce. Specjalnie dla turystów tworzy niezwykle spóldzielnię. Dwunastu przeszkolonych przez Krawczyka przewodników zapewni obsługę grup wycieczkowych. Spóldzielnia przypomina trochę remizę – obowiązuje system dyżurów, a gdy zdarzy się kumulacja i w tym samym czasie miasto chcą zwiedzać dwie grupy, posiłki wzywane są z domów za pomocą głośnego gongu.

Ale główny cel Krawczyka stanowi muzeum regionalne. Widzi je jako wielofunkcyjny kombinat, który gospodaruje na wszystkich polach jego zainteresowań. Czyli: edukacja dla dzieci i dorosłych, zbieranie wiedzy o regionie, wizytówka miasta dla turystów i miejsce wykuwania lokalnej tożsamości. No i oczywiście baza noclegowa, bo póki co jak turysta chce przyjechać do Warki na dłużej, jest skazany na spanie w budynku szkoły.

Muzeum otwiera się w 1951 roku w dawnym pałacu Pułaskich. Gdy decyzja o przejęciu budynku jest już podjęta, trzeba jeszcze wygrać batalię ze Zjednoczeniem Przemysłu Fermentacyjnego o zachowanie parku. Wareccy winiarze w miejscu drzew widzą kadzie do produkcji winiaka. Krawczyk nawet nie chce o tym słyszeć. Ostatecznie zażarty spór musi rozstrzygnąć Warszawa. Stało się na tym, że między dorodnymi dębami i lipami, tuż obok XIX-wiecznej altany, wyrasta dziesięć domków campingowych.

*

W listopadzie 2016 roku do dyspozycji polskich amatorów turystyki alternatywnej były 663 questy. Każdy z nich to inna propozycja terenowej gry w zwiedzanie. Gracze podążają nieoznakowanym szlakiem, rozwiązując po drodze rymowane zagadki, odnoszące się do miejsc w których toczy się gra. W rekordowym województwie dolnośląskim questów jest dziewięćdziesiąt siedem. Lubelskie może pochwalić się trzydziestoma, ale już w zachodniopomorskim jest ich tylko sześć.

W Warce w tworzeniu questów specjalizuje się Dworek na Długiej, czyli instytucja kultury znajdująca się w jednym z tych kilku budynków, których po wojnie nie trzeba było odbudowywać. W do-robku pracowników znajdują się przede wszystkim questy historyczne, nawiązujące do przeszłości miasta. Pierwszy osnuto wokół Piotra Wysockiego. Gracze szukają rozmaitych detali w przestrzeni Warki, muszą liczyć guziki w mundurze pomnikowego Wysockiego, by poznać klucz do sekretnego kodu. Dowiadują się również, że „w XVIII wieku w Warce Żydzi się osiedlili / i do pewnego czasu połowę mieszkańców stanowili / Kiedyś zamieszkiwali ulicę którą kroczyś / Dziś niestety śladu po tych czasach nie zobaczysz”.

Tematami kolejnych questów są Wareckie Legendy, Tradycje Piwowskie w Warce, Dzieje Wareckich Żydów oraz Legenda Siedmiu Świątyń. Łącznie questów jest pięć, co daje dziesięciotysięcznej Warce wysokie miejsce wśród miast-rekordzistów w questowym rankingu Polski.

Na tym jednak nie koniec. Władysław Kononowicz (dowódca lokalnego oddziału powstania styczniowego), a także Stefan Czarniecki (który w XVII wieku pokonał pod Warką

Szwedów) oraz Piotr Wysocki doczekali się również komiksowej adaptacji swoich związków z Warką. Ich animowaną wersję można obejrzeć w internecie, a wielkoformatową na wareckich płotach. Dwaj ostatni uczeni zostali też w bardziej klasyczny sposób – w ostatnich latach na śródmiejskich skwerach stanęły pomniki. Piotr Wysocki wartuje przed Dworkiem na Długiej, konny pomnik Czarnieckiego ustawiono na rynku przed ratuszem.

Pracownicy Dworku na Długiej, spytani kto jest głównym odbiorcą działań upamiętniających, bez wahania wskazują na społeczność Warki. Turystów nadal nie za dużo, choć jest potencjał, by było ich więcej. Póki co to mieszkańcy realizują questy, biorą udział w spacerach, imprezach upamiętniających, rekonstrukcjach historycznych. Nie sprawiają przy tym wrażeń, jakby odczuwali przesyt. – My się chyba już po prostu zdążyliśmy do tego przyzwyczaić. I w zasadzie to dziwne byłoby, gdyby było inaczej – mówi rezydent rynku w Warce, zanim zacznie skarżyć się na gówniarzy, którzy urwali miecz Czarnieckiemu z pomnika.

*

Wiktor Krawczyk zmarł w 1957 roku. Jego imieniem nazwany został warecki oddział PTTK oraz jedna z ulic w centrum miasta. Ma też swoją gablotę w nowej ekspozycji regionalnej w Muzeum Pułaskiego. Multimedialna wystawa, otwarta w grudniu 2015 roku, nosi tytuł „Warka. Miasto dotknięte historią”.

Pilica

Warka jest ostatnią większą miejscowością nad Pilicą, zanim rzeka wpadnie do Wisły. Z tego powodu równie do miasta można równie dobrze przyjechać pociągiem, co przy płynąć kajakiem – zwłaszcza, że z wygodnej przystani jest na rynek dużo bliżej niż ze stacji kolejowej. Spływ zacząć można w Biało-brzegach lub nieco bardziej odległym Nowym Mieście nad Pilicą. Można też rozważyć ambitną propozycję Wiktora Krawczyka, który w swoim przewodniku sugerował, by w Warce zaczynać spływy do Warszawy. Pisał wówczas: „Trasa spływu biegnie około 11 km na Pilicą wśród pięknych okolic. Lewy wysoki brzeg pokrywają sady i pola uprawne, na prawym niskim brzegu rozpościerają się łąki, zarośla i częściowo lasy. Mijane wioski są przeważnie stare, nierzadko historyczne, z prehistorycznymi cmentarzyskami. Od ujścia Pilicy szlak biegnie Wisłą mijając baszty Czerska i Górę Kalwarię. Wartość historyczna Warki i jej ostatnie dzieje stawiają to miasto w rzędzie miejscowości, które miłośnikom historii dają głębokie przeżycia”.

Podziękowania

Przewodnik nie powstałby bez wsparcia pasjonatów lokalnej historii – członków stowarzyszeń, przedstawicieli instytucji kultury oraz mieszkańców. W poznawaniu miejscowości – przystanków Po Kolei – pomagali nam:

- Hanna Gradkowska, Oskar Koszutski, Jacek Wojnarowski, (Towarzystwo Przyjaciół Miasta Ogrodu Podkowa Leśna)
- Kustosz Muzeum Krecjonistycznego w Podkowie Leśnej
- Honrata Kuraskiewicz (Stowarzyszenie Muzeum Jedwabnictwa Milanówek)

- Marianna Bielecka (Towarzystwo Przyjaciół Jaktorowa)
- Marzena Rafińska (Izba Historii Skierniewic)

- Jerzy Bezpałko, Ewa Tryniszewska, Wiesława Wideryńska, Tomasz Wiśniewski (Błonie)
- Zenon Reszka (Burmistrz Błonia)

- Janina Bystrek, Wawrzyniec Siewruk (przewodnicy i mieszkańcy Modlina)
- Ks. Rafał Żuk (ksiądz z parafii świętej Aleksandry w Stanisławowie)

- Anna Ziółkowska (Stowarzyszenie Miłośników Urli)
- Małgorzata Szeja (Liceum im. Marii Sadowskiej w Łochowie)
- Marcin Ołdak (Społeczne Muzeum Ziemi Thuszczańskiej)
- Marzena Kubacz (Muzeum im. Wacława i Zofii Nałkowskich)
- Beata Trojanek, Rafał Rozpara, Jacek Szymański, Lech Urbanek (LGD „Równiny Wołomińskiej”)

- Krzysztof Smosarski (Izba Pamięci Moraczewskich w Sulejówku)
- Beata Nessel-Łukasik (Muzeum Józefa Piłsudskiego w Sulejówku)
- O. Grzegorz Dróżdź (proboszcz parafii św. Jana Chrzciciela w Cegłowie)
- Koło Gospodyń Wiejskich w Cegłowie

- Andrzej Kamiński (Stowarzyszenie Kultury Mazowsza)
- Agnieszka Gajc (Fundacja Ochrony Dziedzictwa Kulturowego)

- Łukasz Rejer (Dworek na Długiej w Warce-Gminna Instytucja Kultury)
- Przewodnik (Muzeum im. Kazimierza Pułaskiego w Warce)

